

DUŻYFORMAT

NR 25/1538

TERÓW

3 LIPCA 2023



Reportaż Marcina Wójcika

MAM WYLICZONE NA JEDZENIE

Artyści w biedzie

MAM WYLICZONE
na jedzenie

Aktor:

„Pracowałem
za 400 złotych netto za miesiąc”.

Aktorka:

„Nie starcza mi na życie.
Dorabiam w sklepie z butami”

Bartek, lat 36, jest aktorem teatralnym poza Warszawą. Pracuje na umowę o pracę w biurze księgowym, wcześniej przy pakowaniu kanapek. W aktorstwie nigdy nie miał etatu.

– Na szczęście miałem umowę-zlecenie w teatrze, czyli opłaconą składkę zdrowotną, kiedy zdiagnozowano u mnie nowotwór z przerzutami. Nie mogłem stracić tego zlecenia, bo straciłbym prawo do darmowego leczenia. Z dyrektorem teatru byłem umówiony tak, że w czasie mojego miesięcznego pobytu w szpitalu na występy będzie za mnie jeździł mój kolega, a później ja pojedę za niego. Przez chwilę to się udawało, ale w końcu kolega miał dość intensywnych wyjazdów. Po wyjściu ze szpitala co dwa tygodnie miałem chemię i zaraz po niej jechałem w trasę z występami.

– Byłeś w stanie?

– Dostawałem małe porcje chemii, bo większe mogły mnie zabić. Lekarz powiedział, że sytuacja źle wygląda, że mogą mi tylko przedłużyć życie. Ale stał się cud, rak się wycofał, a ja mogłem dalej pracować w teatrach za śmieszne pieniądze, na przykład 400 złotych netto za miesiąc. Uciekłem wtedy do Warszawy.

Dyrektor jednego ze stołecznych teatrów zwolnił aktorów, którzy mieli etat, a zatrudnił mniej doświadczonych na umowę-zlecenie – miała być tymczasowo, później etat. Zaproponował Bartkowi, że będzie mu płacił mniej, niż jest to zapisane w umowie.

– Ludzie biorą wszystko. Koleżanka dostała 1400 złotych za dwa miesiące przygotowywania roli we Wrocławiu. Do tego w teatrze nadal występują niejasne sytuacje. Mnie jeden reżyser mobbował, uświadamiał w chamski, wulgarny sposób, że nic nie umiem. Kiedy zaprosił mnie do kolejnego projektu, odmówiłem. Aha, i spotkałem reżyserów, którzy uwodzą aktorów, flirtują z nimi, wciągają do łóżka w zamian za lepsze role i pieniądze. Tak, to się wciąż dzieje. Im większa bieda w kulturze, tym więcej świństwa.

NIE MA WOLI PREZESA

Siedem lat temu PiS obiecał ustawę o artystach zawodowych. W niej zapis o dofinansowaniu skła-

dek zdrowotnej, rentowej i emerytalnej dla artystów, którzy nie są na etacie. Mieliby dostać od 20 do 80 procent dofinansowania, liczonego od średniej krajowej płacy. Zapytałem Ministerstwo Kultury, kiedy ustawa wejdzie w życie. W odpowiedzi czytamy, że wciąż trwają prace, i nie ma nic o terminie ich zakończenia.

Bogdan Zdrojewski, senator, były minister kultury: – W tym przypadku jest tu dwanaście etapów, które poprzedzają skierowanie ustawy do Sejmu. Utknęła na czwartym etapie, w komisji cyfryzacji. Nie sądzę, by miała szansę na pozytywny finał w tej kadencji Sejmu.

– Co pan myśli o projekcie?

– Kierunek dobry. Szansa na poparcie opozycji duża. Oczywiście jest tu kilka punktów, które należy uściślić. Na przykład ten: zaświadczenie o statusie artysty miałaby wydawać Polska Izba Artystów. Każdy, kto ubiegałby się o takie zaświadczenie, musiałby wykazać trzy lata dochodów z działalności artystycznej. Ale co w przypadku artysty, który pracuje nad rzeźbą dwa lata? Albo pisarza, który przygotowuje biografię przez trzy lata? I jeszcze pytanie, kto będzie oceniał dorobek, żeby uniknąć ryzyka politycznych upodobań. I czy trzeba się wystawiać w Biurze Wystaw Artystycznych, czy też może to być prywatna galeria na strychu, bo takie znam. Mnie się wydaje, że na ustawie najbardziej skorzystają twórcy ludowi.

– Dlaczego?

– Mają ciągłość wykonywanej pracy, mogą łatwo wykazać dochody, bo stale sprzedają wycinanki, garnki, serwetki, figurki. Ich dochody są skromne, dlatego łatwiej mogą otrzymać wsparcie w postaci sfinansowania składki zdrowotnej i emerytalnej.

– Wiadomo, ile rocznie kosztowałby ten pomysł?

– Według założeń 100 milionów samo dofinansowanie, a 8 milionów obsługa.

Artystów policzył zespół naukowców pod kierownictwem prof. Doroty Ilczuk z SWPS.

Wyszło mu, że jest ich 60 tysięcy, ponad połowa z nich pracuje na umowę o dzieło, czyli nie ma odprowadzonych żadnych składek, i żyje na skrajną ubóstwa.

Profesor Dorota Ilczuk: – Na całym świecie artyści są traktowani jako grupa zawodowa i mają pomoc ze

strony państwa. Tak jest w Europie Zachodniej, ale i w takich krajach jak Brazylia, Kanada, Australia. Liczyłam na to, że coś się wreszcie zmieni i w Polsce.

SKŁADKA BY MNIE DOBIŁA

Maciej Pesta – szerzej znany ze „Stulecia Winnych” i „Korony królów” – nauczył się żyć bez stresu, co zajęło mu kilka lat. Miał etat w teatrach w Kielcach i Bydgoszczy, ale zrezygnował trzy lata przed pandemią.

– Etat w teatrze to najniższa krajowa i uwiązanie w jednym miejscu. Przeszedłem na freelance. A teraz mam dziesięć osiemnastych etatu w Studium Aktorskim w Olsztynie, dzięki czemu jestem ubezpieczony zdrowotnie. O emeryturze nie myślę. Na co dzień mieszkam w Warszawie. Na własne mieszkanie mnie nie stać, a nie chcę kredytu. Samodzielne opłacanie składek do ZUS dobiłoby mnie finansowo.

– Ustawa o statusie artysty pomoże panu płacić składki?

– Pomoże tylko tym, którzy zmuszeni są żyć za głodowe stawki. Na przykład ja musiałbym zarabiać najniższą krajową, czyli 2700 na rękę, żeby dostać tyle dofinansowania, by było mnie stać na resztę składki. Ale jak mogę zarabiać najniższą krajową, skoro 2500 kosztuje wynajęcie kawalerki, do tego opłaty za prąd, wodę, jedzenie, ubranie. Dziwna ta pomoc.

PRZEGRALIŚMY Z LOBBY

Pisarz Zygmunt Miłoszewski został zaproszony przez Ministerstwo Kultury do rozmów nad projektem ustawy o artyście zawodowym. Zaproszenie przyjął, bo razem z innymi chciał coś zrobić dla artystów, którzy po 1989 roku znaleźli się w cieniu legislacyjno-fiskalno-ubezpieczeniowym, jak to określa.

– Państwo wyróżnia różne grupy społeczne i zawodowe, ponieważ ich specyfika wymyka się byciu „po prostu pracownikiem” lub „po prostu przedsiębiorcą”. Służby mundurowe mają wcześniejsze emerytury, nowi przedsiębiorcy mają zwolnienia i niżki w ZUS-ie, rolnicy mają KRUS, księża mają dofinansowania do składki, nauczyciele mają roczny urlop na podre-

MARCIN
WÓJCIK



FOT. GETTY IMAGES

perowanie zdrowia, lekarze specjalną stawkę podatku ryczałtowego, a artyści w systemie zwyczajnie nie istnieją. Prace nad ustawą szły do przodu, projekt wyglądał bardzo dobrze, wydawało się, że to przełom. Udało się wywalczyć, żeby kryterium przyznawania statusu twórcy nie było jakościowe, to znaczy, żeby ktoś nie powiedział: „Tokarczuk jest pisarką, bo dostała Nobla. A Miłoszewski nie jest pisarzem, bo pisze kryminały”. Zabiegaliśmy o to, żeby kryteria przyznawania pomocy były ilościowe, że trzeba coś stworzyć i czerpać z tego główne dochody. I to się udało wypracować. Po tym przyszedł czas na ustalenie źródeł finansowania. Nie chcieliśmy sięgać po pieniądze podatnika, chcieliśmy sięgnąć po pieniądze z opłaty reprograficznej, czyli od producentów i dystrybutorów sprzętu elektronicznego. Ale wcześniej trzeba było zreformować tę opłatę, bo w jej zapisach nadal jest mowa o kasetach VHS, a nie ma mowy o smartfonach. Tak czy owak ustawa o artyście zawodowym była gotowa. W pandemii przyszedł świetny moment, aby ją wprowadzić. Kina i teatry były zamknięte, spotkania w bibliotekach odwołane, a nie załapał się na jakieś superwsparcie jak przedsiębiorcy. Jednocześnie kultura za darmo docierała przez internet do ludzi pozamykanych w domach – teatry, spotkania autorskie. To naprawdę był dobry moment, aby przechnąć ustawę. I wtedy coś poszło nie tak.

– Co?

– Okazało się, że naszym głównym przeciwnikiem jest bogate lobby dystrybutorów sprzętu elektronicznego, którzy powinni być płatnikami opłaty reprograficznej. Takie składki są powszechne w Europie. Lobby podniosło krzyk: Miłoszewski i Nosowska wprowadzają nowy podatek, żeby sobie kupić kolejną willę, polskie dzieci nie będą mogły dostawać komputerów i komórek, nowa kasta świętych krów. To był zalew tego typu narracji w internecie, do nagonki włączyli się popularni youtuberzy. Nagle się okazało, że jest to ustawa, której nikt nie popiera. Opozycja podchodziła ostrożnie, bo nie chciała ratować projektu rządowego, a rządowa strona też się schowała, zaskoczona sprzeciwem. Nie wydaje mi się, żeby w najbliższych latach ktoś wrócił do projektu.

– A pan się ubezpiecza?

– Mam działalność. Z trudem, nawet mnie korci, żeby zamknąć, olać emerytalne, wrócić do umów

o dzieło, a zdrowotnie przy żonie na etacie. I mieć nadzieję, że jak przyjdzie starość, to państwo w UE nie da umrzeć z głodu.

STAWKA ZA SUKCES

Reżyserka teatralna Katarzyna Szyngiera – rekordy publiczności bije jej „1989”, koprodukcja Teatru Słowackiego w Krakowie i Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku – też nie ma etatu, pracuje na umowę o dzieło.

– Korzystam z ubezpieczenia zdrowotnego byłego męża, ale to za chwilę się skończy. Sprawdzalam i wyszło mi, że gdybym chciała samodzielnie opłacać składkę zdrowotną, to musiałabym teraz przeznaczyć od 700 do 850 złotych miesięcznie. Nie mogę sobie na to pozwolić, musi mi wystarczyć na żłobek i jedzenie dla dziecka, maksymalnie mogłabym wydać 500 złotych. Będę szukała jakiejś formy zatrudnienia, w której jest ubezpieczenie zdrowotne. A co do składek emerytalnych, to nawet gdybym teraz zaczęła płacić, to niewiele uzbieram. Lepiej wyszłabym na tym, gdybym co miesiąc przelewała pieniądze na oddzielne konto i nie ruszała ich do starości.

– Sztuka „1989” nie schodzi z afisza, na każdym spektaklu pełno widzów, dyrektor Teatru Słowackiego Krzysztof Głuchowski ciągle ją chwali. Rozumiem, że to poprawi pani sytuację ekonomiczną? – mówię.

– Do pewnego stopnia tak, jednak nie zadbalismy o to, by finansowo skorzystać na ewentualnym sukcesie. Powinniśmy mieć kilkakrotnie razy więcej tantiem i prawa do tekstu – jak to jest w teatralnym zwyczaju. Mamy jedynie skromne 0,5 procent od każdego biletu, na które zgodził się dyrektor po premierze w ramach negocjacji fatalnej umowy.

Aktor, występuje w spektaklu „1989”: – Nie mam nigdzie etatu, jestem wolnym strzelcem, wynajmuję mieszkanie z przyjaciółmi, na samodzielny wynajem mnie nie stać. Dobrze by było, żeby chociaż aktorzy występujący w musicalach dostawali od teatru pieniądze na fizjoterapeutów. W moim przypadku było tak, że grube pieniądze musiałem oddać fizjoterapeutom, by móc dalej grać w „1989”. A stawki?

*W Polsce pracuje
60 tysięcy artystów,
połowa z nich
ma umowę o dzieło,
czyli nie odprowadza
żadnych składek,
i żyje na skraju ubóstwa*

W Polsce za trzy miesiące prób dostaje się od 2 do 8 tysięcy złotych brutto. W przypadku „1989” wypłata mieściła się w tych granicach. I oczywiście dochodzą pieniądze za późniejsze wystawianie sztuki, ale te są małe, jak wszędzie.

Aktor za występ w spektaklu „1989” dostaje od 300 do 700 złotych.

SPRZĄTAJĄ HOTELE

Gra w teatrach, filmach, ma 35 lat, nie chce, by podać jej nazwisko: – Gdyby potrafił mnie samochód, to za leczenie musiałabym zapłacić z własnej kieszeni, a składki emerytalnej też nie płacę, więc jeszcze nie wiem, z czego będę żyła na starość. Moja przyjaciółka aktorka ma kawałek ziemi, który odziedziczyła po rodzicach, została rolniczką i ubezpiecza się w KRUS-ie.

Byłam świadkiem sytuacji, w których aktorzy niezatrudnieni na etacie po kontuzji w trakcie prób w teatrze nie mogli jechać na pogotowie, bo nie mieli ubezpieczenia. W jednym przypadku teatr zapłacił za prywatne leczenie. Ale takie gesty są rzadkością. Gdybym złamała nogę w trakcie prób, nikt nie zapłaciłby za moje leczenie ani za wykonaną pracę. Musiałabym zrezygnować ze spektaklu, w który włożyłam czas i wysiłek, i nie dostałabym ani złotówki. Od niedawna staram się zabezpieczać w umowach takie sytuacje, na przykład prosząc o zaliczkę za pierwszy etap pracy albo wprowadzając do umowy zapis dotyczący przerwania prób czy odwoływania spektakli.

Ponieważ repertuary teatrów ustala się tylko z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, nie wiem jeszcze, co będę robiła w styczniu. Odkładam, oszczędzam, ale znam aktorów, którzy żyją z dnia na dzień, mieszkają kątem u znajomych, nie stać ich na ZUS. Dorabiają. Prowadzą warsztaty ruchowe, uczą jogi, w wakacje wyjeżdżają za granicę sprzątać hotele, zbierać truskawki – potem wracają, by przez kilka miesięcy znowu być artystą.

Naszym problemem jest nie tylko brak etatów, ale i to, że większość spektakli szybko kończy swój żywot albo jest rzadko grana. Teatry zdobywają granty na zrobienie spektaklu, ale nie mają pieniędzy na jego eksploatację. Granty to państwowe pieniądze wydawane po to, aby dwa razy wystawić spektakl, który obejrzy może 300 osób. Nie ma spektakli, więc aktorzy nie zarabiają.

– Ile mają od jednego spektaklu?

– Ci, którzy są na etacie w teatrze, dostają od 200 do 400 złotych brutto. Ci, którzy występują gościnnie, dostają więcej, ale oni nie mają etatu. Ja dostaję około 700. Ale muszę za te pieniądze dojechać, przemocować. Zarabiam tyle, że nie stać mnie na opłacanie składek.

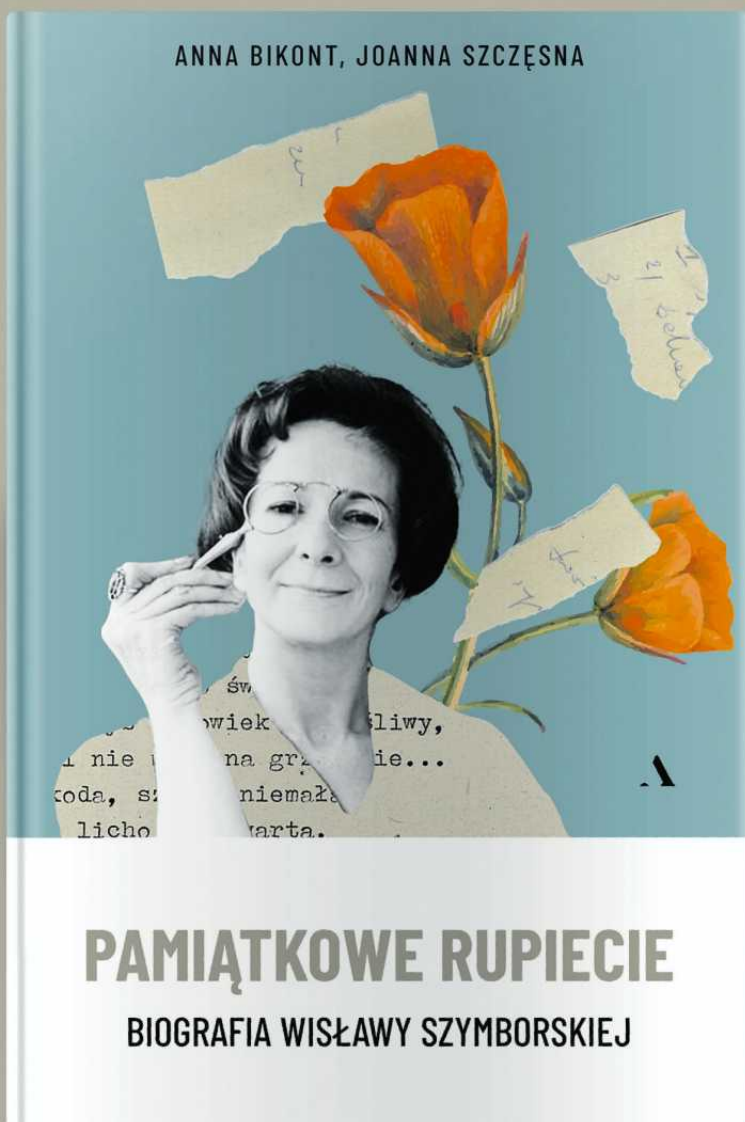
FALSYWY CASTINGI

Maksymilian Rogacki, przewodniczący Związku Zawodowego Aktorów Polskich, mówi, że sytuacja artystów po pandemii jest szczególnie trudna. Akto-

FASCYNUJĄCY PORTRET

Wisławy
SzymborskiejWYDANIE SPECJALNE
Z OKAZJI
ROKU NOBLISTKI

Poetka nie była zachwycona, gdy Anna Bikont i Joanna Szczęśna zaproponowały, że napiszą jej reporterską biografię. Czytając „Pamiętkowe rupiecie” w pełnym wydaniu być może nie zmieniłaby zdania – nie jest łatwo przeglądać się we własnym życiu opisanym tak wnikliwie i szczerze. Jednak mimo to, zapewne w końcu w tej wielowymiarowej, fascynującej historii odnalazłaby całą siebie.



DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA **publio.pl**

Wydawnictwo
Agora

rzy zatrudnieni na etacie zarabiają najniższą krajową, do tego mają premie, jeśli grają w spektaklach. W niektórych teatrach za wyjście na scenę dostają 120 złotych brutto. Bywa, że ich pensja nie przekracza 3 tysięcy netto.

– Jeszcze cięższa sytuacja dotyczy sektora audiowizualnego. Obecnie pracujemy nad zapewnieniem tzw. gwarantowanej stawki minimalnej za dzień zdjęciowy. Nie chciałbym jednak podawać kwoty, bo jest to jeszcze w przygotowaniu.

– Ilu aktorów jest zrzeszonych w waszym związku?

– Ponad 1200.

– Z jakimi problemami się do was zgłaszają?

– Najczęściej z płacowymi. Wynagrodzenie zasadnicze jest często kilkaset złotych niższe niż płaca minimalna w Polsce, co jest sprzeczne z obowiązującym prawem. Tak dzieje się choćby w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie.

– A mobbing?

– Takich spraw mamy niewiele, głównie dotyczą mobbingu ze strony dyrektorów, nie reżyserów. Ostatnio docierają do nas skargi na fałszywe castingi. Szczególnie wyróżnia się tu jeden, główny organizator fałszywych castingów, który wyłudza od młodych aktorek nagie lub półnagie zdjęcia, a później umieszcza je na stronie internetowej. Młode aktorki wierzą, że casting jest prawdziwy, i udostępniają swoje fotografie.

NA SZCZĘŚCIE
MĄŻ JEST ETATOWCEM

Milena Czarnik jest choreografką, kostiumografką, scenografką i reżyserką światel. Zdarza się, że robi wszystko naraz.

– Nie przepracowałam ani jednego dnia na etacie, moje prace to umowa o dzieło. Może raz miałam umowę-zlecenie.

– Ubezpieczasz się prywatnie?

– Jestem w uprzywilejowanej sytuacji, bo mąż jest etatowcem w teatrze, do tego wykłada w szkole teatralnej, więc jestem podciągnięta pod jego ubezpieczenie.

– A w teatrach nie ma etatów dla choreografów, scenografów, kostiumografów?

– Już nie. Ale może i tu zacznie się bunt.

Wiem, że castingery próbują się zrzeszyć, by walczyć o lepsze warunki pracy.

BOTY NAS OKRADAJĄ

Udało się zrzeszyć dubbingowcom. W 2021 roku założyli Związek Zawodowy Twórców Dubbingu.

Jan Aleksandrowicz ze związku: – Udało nam się wywalczyć 25 procent podwyżki. O ile studia są otwarte na dialog, o tyle klienci tną koszty i nie chcą słyszeć o naszych postulatach. Z Netflixem, Paramountem, Canal Plus i Disneyem na czele, choć ten ostatni płaci najlepiej. A wszyscy oni chwają się, jak to dbają o pracowników.

– Ile na miesiąc zarabia aktor dubbingowy?

– Pracujemy na umowę o dzieło, więc nikt nie odprowadza za nas składek. Są miesiące, że nic nie zarobimy. Terminy płatności to zazwyczaj 60 dni, a praktyka jest taka, że dostajemy przelew z półrocznym opóźnieniem. Płacone mamy za wers. Jeden wers to 62 znaki. W tej chwili stawka minimalna za wers wynosi 2,50 zł brutto. Jeżeli ktoś ma do zagrania 100 wersów, to zarobi 250 złotych brutto.

– To ile na miesiąc może być z dubbingu?

– Absolutnie nie da się wyżyć z samego dubbingu. Łapiemy, co jest: film, teatr, audiobook, chałtura – otwarcie konferencji. Moja żona ma etat w innej branży, jestem podciągnięty pod jej ubezpieczenie zdrowotne. Dodatkowo opłacam prywatnie ubezpieczenie na życie, gdzie mam składkę emerytalną. Żeby wspierać kulturę, państwo powinno dopłacić artystom do składek, ale także chronić ich dorobek. Coraz większym problemem są boty – ktoś kradnie głos aktora i wykorzystując jego barwę,

puszcza w komputer, choćby do czytania audiobooków. Później koledzy odkrywają ze zdumieniem, że czytają reklamę lub audiobooka, z błędami i nieczystościami. Nie mamy pieniędzy na prawników, żeby ściagać złodziei naszych głosów.

MARZENIA
O REKLAMIE JOGURTU

Mówią o niej, że jest rekiną biznesu.

– Dlaczego tak mówią? – pytam Weronikę Łukaszewską, która w 2019 roku skończyła krakowską PWST.

– Bo od zawsze wiedziałam, że muszę być firmą samą w sobie, żeby się utrzymać na rynku. Założyłam działalność gospodarczą – sprzedaję plakaty, przez co mam ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne. Ale za chwilę kończy mi się niższy preferencyjny ZUS. Znajomi aktorzy ubezpieczają się w różnych dziwnych miejscach, choćby na jedną dziesiątą etatu u ciotki fryzjerki na drugim końcu Polski. Inwestuję na giełdzie, bo jest to dobra lokata oszczędności i wcale nie trzeba mieć dużo pieniędzy, żeby zacząć. Już w liceum inwestowałam drobne sumy, najpierw pożyczone od mamy, później swoje. Dywersyfikacja przychodów jest dla mnie bardzo ważna, a w tym zawodzie to już podstawa.

Gra w teatrach, dubbinguje, czyta i śpiewa w reklamach – za to ostatnie można dostać od 500 złotych do kilku tysięcy za kilka sekund śpiewania. Zgadza się na niewielkie przedstawienia teatralne – tydzień prób i dwa pokazy, dostaje za całość 500 złotych.

– Aktorzy, których znam, pracują w restauracjach, pilnują dzieci znajomym, śpiewają w reklamach jogurtu, wyjeżdżają do pracy fizycznej za granicę.

Jędrzej Piaskowski, reżyser teatralny: – A grają dla pasji i liczą, że kiedyś to się zmieni. Marzą o serialach, najlepiej tasiemcach. Albo ktoś ich dostrzeże i zrobi z nich gwiazdę reklamy sieci komórkowej, mebli lub biżuterii. Artyści, którzy żyją w luksusie, dorobili się nie na grananiu w teatrze, ale na serialach i kontraktach reklamowych.

JAK OBUCHEM W GŁOWĘ

W Teatrze Polskim w Bydgoszczy działa Związek Zawodowy „Inicjatywa Pracownicza”. Rozmawiam z członkiem związku. Nie chce się ujawniać.

– U nas ciężko zmobilizować aktorów do działania. Nie wiem, może pogodzili się z tym, że jest, jak jest, albo dorabiają gdzie indziej. Podlegamy pod urząd miasta, a miasto nas nie hołubi. Dostaliśmy ostatnio podwyżki, ale to było równanie do najniższej krajowej, a nie prezent od prezidenta. A co do mobbingu w teatrach – kiedyś było go więcej. Pamiętam, jak mnie zmiażdżył pewien nieżyjący już nestor polskich reżyserów za coś, co nie było moją winą. Później mnie przeprosił, ale ochrzani pamiętam do dzisiaj – był jak obuchem w głowę. Pokolenie młodych reżyserów i reżyserek już sobie na to nie pozwala.

MINISTRZE GLIŃSKI,
NASZ TEATR UMIERA

Prosi o anonimowość, bo „dyrektora przysłał PiS”.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że jestem szczęściarą, mam etat w teatrze. Ale zarabiam tyle, że nie starcza mi na życie. Nawet nie mam najniższej krajowej, bo dyrektor dolicza nam do pensji dodatki za premiery, żebyśmy mogli wyjść na najniższą. A przecież za premiery powinniśmy dostawać ekstra! Podejrzewamy, że pieniądze idą nie tam, gdzie powinny. Jeszcze nie wiemy gdzie. Piszemy do Ministerstwa Kultury, ale nie dostajemy odpowiedzi. Nie ma prób, nie ma premier, nasz teatr umiera.

– To jak sobie pani radzi?

– Dorabiam w sklepie z butami. ●

Afera z bestsellerami

Czy Jacek Bartosiak jest notorycznym

PLAGIATOREM?

Już pół tuzina osób – w tym naukowcy i dziennikarze – obwinia znanego polskiego specja od geopolityki dr. Jacka Bartosiaka o serię plagiatów.

Obwiniony: – Nie mam sobie nic do zarzucenia



P

Powinniśmy być gotowi do samodzielnego rozpoczęcia wojny z Białorusią po to, żeby wciągnąć sojuszników w totalną konfrontację z Rosją – tę i inne ryzykowne tezy dr Jacek Bartosiak postawił właśnie w swojej nowej książce o Polsce pt. „Najlepsze miejsce na świecie” (Wydawnictwo Literackie). Szeroko reklamowana w sieci monografia od połowy czerwca jest w pierwszej piątce bestsellerów Empiku w dziedzinie literatury faktu. Jej autor, nazywany przez wydawcę Hararim polskiej geopolityki, spotyka się z czytelnikami i udziela wywiadów, ma 150 tysięcy obserwujących na Twitterze, a na YouTube jego wykłady zbierają po pół miliona otwarć. Przed „Najlepszym miejscem...” napisał osiem książek, w tym jedną ze światowej sławy politologiem George'em Friedmanem („Wojna w Kosmosie”, wyd. Zona Zero). Aktualnie Bartosiaka ogląda, słucha i czyta kilka milionów rodaków.

– Ma wręcz własny kościół i wyznawców – mówi mi jego wieloletni dobry znajomy. – Można powiedzieć, że wprowadził geopolitykę pod strzechy, i to nie mając żadnego publicznego wsparcia, żadnych grantów, a tylko własną pracowitość i energię. Oczywiście jest faktem, że celowo używa nieco tajemniczego języka, wtrąca jakieś słowa z dawnych książek, sugeruje słuchaczom: „dopiero ja wam pokażę, jak świat działa”. To jego sposób na marketing.

Znajomy: ŻYCZLIWY, ALE NARCYZ

Wychowany na inteligenckim Żoliborzu 48-letni prawnik po Uniwersytecie Warszawskim, prywatnie żonaty ojciec trzech córek, jest dobrze zbudowanym i pewnym siebie mężczyzną, którego chępliwy ton zapada w ucho każdemu, kto z nim rozmawiał. Znający go mówią i piszą: śmiały do przesady, przekonany o własnej nieomyślności. Ale słyszę też: „ekstremalnie narcystyczny megaloman, który zaczął pisać i mówić głównie o sobie samym”.

Jeden z recenzentów „Najlepszego miejsca...”, historyk Robert Kuraszkiewicz, pisze: „Pierwsza część [książki] poświęcona jest temu, że Jackowi Bartosiakowi prawie udało się spotkać z Jarosławem Kaczyńskim. Miałem nadzieję, że doświadczenia wynikające z kontaktów z zapleczem lidera PiS posłużą jakiejś pasjonującej analizie funkcjonowania obozu władzy (...). Nic z tego. Sprawa zawisa w próżni. Tak jakby autor miał nadzieję, że dzięki książce jednak do wymarzonego spotkania dojdzie. (...) Zasadnicza część książki polega zaś na tym, że Bartosiak wymienia swoich – w większości amerykańskich – rozmówców, podkreślając ich zachwyty nad jego dorobkiem. I nie jest to ironia, ale opis! (...) W książce zapoznajemy się z całą plejadą różnych osób, z którymi [autor] się spotkał. Nie znajdziemy jednak ich fascynujących opowieści – poza wspomnianym zachwytem nad [autorem]”.

Rozmawiałem z Bartosiakiem trzykrotnie i mnie również nie omieszkał poinformować, że współpracuje z waszyngtońską Potomac Founda-

PIOTR
GLUCHOWSKI



tion. Kłopot w tym, że ów think tank – istotny w czasie zimnej wojny – dziś jest organizacją marginalną. Nie ma nawet działającej strony internetowej – adres potomacfoundation.com prowadzi donikąd.

– Po tym, gdy wybuchła sprawa plagiatu, wiele osób zaczęło podważać wagę amerykańskich kontaktów Bartosiaka – mówi dalej wieloletni znajomy. – Ja wiem, że jego znajomości w Stanach są poważne. Jest tam naprawdę szanowany i słuchany. Dawał wykłady w US Army War College, rozmawiają z nim faceci, którzy się autentycznie liczą w światowej polityce.

– A jaki on jest prywatnie? – pytam.

– Życzliwy, ciekawy rozmówca. Ktoś, z kim dobrze by panu było na wakacyjnej wędrowce. Choć jednocześnie jego miłość własna bywa irytująca. To jest już taki poziom samozachwyty jak u Bronka Wildsteina, Radka Sikorskiego czy wcześniej u Tomasza Lisa.

Piotr Niemczyk: LEPIEJ NA NIEGO UWAGAĆ

Poza pisaniem książek Bartosiak zarabia na życie także jako partner w warszawskiej kancelarii Bartosiak Osiński Rycerz (głównie obsługa biznesu), prócz tego animuje liczne przedsięwzięcia na własny rachunek. Założył m.in. think tank Strategy & Future zajmujący się (cytując twórcę) „analizą geostrategiczną i ewolucją pola walki”. W praktyce – jak ustaliłem – 90 procent instytucji to Bartosiak i dwóch współpracowników: Albert Świdziński, który na stronie S&F pisze o sobie, że lubi mieszane sztuki walki i poezję Zbigniewa Herberta, oraz Marek Budzisz, kiedyś doradca rządu Jerzego Buzka, potem członek partii Prawica RP, publicysta serwisu braci Karnowskich i także autor książek o geostrategii.

Oprócz pracy w S&F Bartosiak udziela się w kilku konserwatywnych instytucjach i stowarzyszeniach. Współpracuje m.in. z Centrum Analiz krakowskiego Klubu Jagiellońskiego, z Fundacją Republikańską finansowaną przez Narodowy Instytut Wolności, a także z założoną przez Igora Jankego (byłego szefa PAP i redaktora „Rzeczpospolitej”, a zarazem twórcę strony Salon24.pl) Szkołą Przywództwa, która reklamuje się w internecie jako „kuźnia przyszłych elit Polski”.

W roku 2018, gdy rówieśnik i kolega Bartosiaka z Wydziału Prawa UW Mikołaj Wild został pełnomocnikiem rządu Zjednoczonej Prawicy ds. budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie, uczynił geopolityką w pierw swoim doradcą, a potem – na kilka miesięcy – prezesem państwowej spółki budującej CPK. Z tego fotela doktor musiał ustąpić w lutym 2019. Nieoficjalnie słyszę, że sobie nie poradził. Oficjalnie odszedł „z powodów osobistych”.

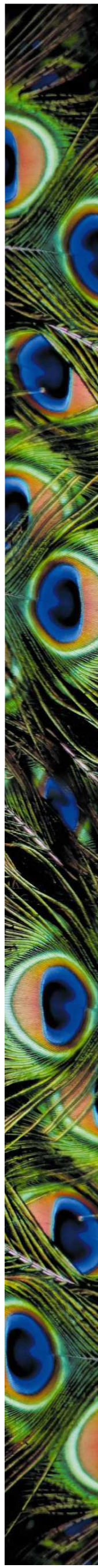
Przed CPK był też członkiem rady Narodowego Centrum Studiów Strategicznych, czyli think tanku założonego przez byłego wiceministra obrony w rządzie PiS, LPR i Samoobrony Jacka Kotasa. Dziennikarz śledczy Tomasz Piątek pięć lat temu oskarżył Kotasa o bliskie relacje z tzw. mafią solncewską – powiązaną z Kremlem rosyjską organizacją przestępczą, która handluje bronią, narkotykami i uranem. Oskarżony pozwał Piątka i przegrał – ostateczny wyrok przed Sądem Najwyższym zapadł w styczniu br.

Zdaniem byłego wicedyrektora Zarządu Wywiadu UOP, a dziś eksperta w dziedzinie bezpieczeństwa Piotra Niemczyka Bartosiak – a wraz z nim m.in. Grzegorz Braun z Konfederacji i Leszek Sykulski z Polskiego Ruchu Antywojennego – tworzą w polskiej infosferze grupę poputczyków Kremla. Dowody? W „Najlepszym miejscu...” – jak pisze cytowany już Kuraszkiewicz – Bartosiak „tworzy scenariusze, w których mielibyśmy podjąć ryzyko uderzenia wyprzedzającego [na wschód] bez gwarancji udziału naszych sojuszników”.

– Przesada antyrosyjska to takie samo narzędzie jak kłamstwa „pro” – zauważa Niemczyk. – Antyrosyjskość do śmiechowości może być śladem Moskwy. Ja bym na Bartosiaka uważał.

Dr Piegzik: KOMPROMITACJA PAN

Od roku 2016 Jacek Bartosiak szczydzi się tytułem doktora. Trzy lata przed wprowadzeniem obowiązku sprawdzania prac programem wykrywającym plagiaty obronił w Polskiej Akademii Nauk dysertację pt. „Geostrategiczna sytuacja USA i Chin na Zachodnim Pacyfiku i w Eurazji a amerykańska koncepcja wojny powietrzno-morskiej”. Jej promotorem był prof. Bogdan Góralczyk, wówczas dyrektor Centrum Europejskiego UW. Pozytywne recenzje napisali: były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego gen. prof. Stanisław Koziej i prof. Hubert Królikowski – historyk wojskowości z Uniwersytetu



Jagiellońskiego, zarazem dyrektor Departamentu Analiz Przygotowań Obronnych KPRM. Obaj zalecili wydanie doktoratu w formie książki – co nastąpiło.

Rozprawę pod skróconym tytułem „Pacyfik i Eurazja. O wojnie” wydała Zona Zero a później Fronda. Książka wieszcząca zbrojny konflikt między Chinami a USA długo gościła na listach bestsellerów w kategorii literatura faktu. Do dzisiaj sprzedano się kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy. Recenzje były entuzjastyczne. „Pionierska w analizie pozycji Polski” (Polska-Azja.pl); „Książka ekspercka, a nawet geopolityczny traktat” (Biznesalert.pl); „Jestem pod wielkim wrażeniem książki (...). Ta próba prognozy ładu światowego w ciągu kilku najbliższych dekad powinna odgrywać dużą rolę w planowaniu polskich posunięć dyplomatycznych” (Historia.org).

Z początkiem tego roku Bartosiak został zaproszony do dyskusji (m.in. o jego książce-doktoracie) przez publicystę tygodnika „Do Rzeczy” Piotra Zychowicza, który prowadzi też youtube’owy kanał „Historia realna”. Debatę obu panów „Wojna na Pacyfiku. Kto wygra starcie supermocarstw?” obejrzało do tej pory przeszło pół miliona osób. Wśród nich dr Michał Piegzik, specjalista od japońskiego prawa cywilnego na Edinburgh Napier University i zarazem pasjonat II wojny światowej w Azji, który napisał pięć książek poświęconych kampaniom wojennym w tym czasie i obszarze.

– Obejrzałem dyskusję Zychowicza z Bartosiakiem, a potem internetowy wykład tego drugiego o wojnie na Pacyfiku – mówi mi. – Takich bzdur, w dodatku wygłaszanych z wielką pewnością siebie, jeszcze nie słyszałem. Postanowiłem przyrzeć się jego książce-doktoratowi...

Gdy już się przyjrzał, Piegzik opublikował na ogólnonaukowej witrynie Academia.edu artykuł pt. „Analiza rozdziału w książce autorstwa dr. Jacka Bartosiaka »Pacyfik i Eurazja«”. Czytam podsumowanie: „[Bartosiak] popełnił 52 błędy merytoryczne (faktograficzne) i 13 nieścisłości, które mogą wprowadzić czytelnika w błąd. Ogólny stosunek (...) kształtuje się na poziomie sześciu błędów merytorycznych na stronę.

Autor (...) nie rozumie struktur władzy państwowej i wojskowej w Japonii (...), wykazuje nieznaną chronologię najważniejszych wydarzeń historycznych (...), przytacza nieprawdziwe poglądy Japończyków i powiela stereotypowe opinie o [ich] mentalności bez znajomości źródeł. (...) Większość jego błędów została popełniona z powodu nieskorzystania z powszechnie dostępnej literatury przedmiotu w języku angielskim, a nawet polskim. Nie skorzystał on także ze źródeł dostępnych za darmo w sieci (...).

Choć nie posiadam dostępu do dokumentacji z przewodu doktorskiego, podejrzewam, że błędy te nie zostały zauważone (tym bardziej skorygowane) przez promotora ani żadnego z recenzentów rozprawy doktorskiej, [co oznacza] poważną wizerunkową klęskę Polskiej Akademii Nauk”.

– Gdy Bartosiak przeczytał, co napisałem, wrzucił na „Obronę PRO”, czyli obserwowaną przez nas obu facebookową stronę pasjonatów wojskowości, przywołany w ogólnych przypisach doktoratu link do raportu RAND o współczesnej sytuacji na Pacyfiku. Ten raport, a konkretnie jego część historyczna wspominająca zmagania amerykańsko-japońskie z lat 1941-45, miał być źródłem wiadomości zawartych w doktoracie, a potem książce „Pacyfik i Eurazja...”.

RAND to amerykański think tank i zarazem związana z US Army placówka naukowo-badawcza. Zajmuje się m.in. obronnością, terroryzmem i stosunkami międzynarodowymi, ale też edukacją i zdrowiem publicznym. Jej członkiem był m.in. wywodzący się z podlaskiej wsi Sidra twórca internetu Paul/Pesach Baran, który w 1959 roku zaprojektował rozproszoną sieć komputerów zdolną przetrzymać atak nuklearny Związku Sowieckiego.

Michał Piegzik dalej: – Dopiero gdy porównałem podesłany tekst RAND ze wspomnianym rozdziałem książki Bartosiaka, złapałem się za głowę. 90 procent treści było przepisane niemalże słowo w słowo!

Raport amerykańskiego think tanku: „Decyzja Japonii o zbombardowaniu Pearl Harbor była błędem najwyższej rangi. Ostatecznie doprowadziło to do użycia broni atomowej przeciwko dwóm japońskim miastom, do końca imperium japońskiego, do lat obcej okupacji i do wyroków śmierci dla wielu jej przywódców”.

Bartosiak w książce-doktoracie: „...atak Japonii na Pearl Harbor był błędem strategicznym o kolosalnych rozmiarach. W efekcie doprowadził do zniszczenia potężnej floty japońskiej, całkowitej klęski w wojnie na Pacyfiku oraz do bombardowań atomowych dwóch dużych japońskich miast. To z kolei doprowadziło do końca japońskiego imperium, długoletniej okupacji kraju przez Stany Zjednoczone i wyroków śmierci dla wielu japońskich dowódców wojskowych i przywódców”.

RAND: „W odpowiedzi na japoński ekspansjonizm Stany Zjednoczone narzuciły sankcje ekonomiczne. Ambasador USA w Japonii Joseph Grew i admirał Harold Stark co prawda przestrzegali przed nimi, lecz sekretarz skarbu Henry Morgenthau, sekretarz obrony Henry Stimson i asystent sekretarza Departamentu Stanu Dean Acheson naciskali na sankcje możliwie najcięższe”.

Bartosiak: „W odpowiedzi [na] morskie zbrojenia Japonii i ekspansję w Azji (...) Amerykanie nalożyli na Japonię sankcje ekonomiczne i to pomimo początkowego oporu ambasadora USA w Tokio – Josepha Grew. Należy dodać, że sekretarz skarbu Henry Morgenthau, sekretarz obrony Henry Stimson i asystent sekretarza stanu Dean Acheson parli do wprowadzenia jeszcze ostrzejszych sankcji”.

Na 12 stronach monografii (tyle zajmuje w niej rozdział II.2) Piegzik zaznaczył 30 akapitów podobnych do tych w amerykańskiej publikacji. Po czym opublikował porównanie na Twitterze.

– Wtedy pan Bartosiak wysłał tweet, że bym go nie zaczął...

26 maja geopolityk napisał do naukowca ze Szkocji: „Szanowny Panie (...), informuję, że dalsze Pańskie zachowanie (...) będzie oznaczało, iż świadomie narusza Pan moje dobra osobiste (...), ze wszystkimi tego konsekwencjami, w tym wypełnia Pan znamiona znieważania określone stosownymi przepisami i orzecznictwem sądów. Wzywam do natychmiastowego zaprzestania takiego zachowania”.

Piegzik: – Też jestem prawnikiem, więc wiem, że tweet ma moc prawną, więc wzywam do zaniechania naruszeń. Dlatego nie będę używał słowa „plagiat”, wolę mówić o przepisaniu od kogoś 90 procentach tekstu. Natomiast gdyby pan Bartosiak faktycznie wytoczył mi sprawę, sąd bezsprzecznie oceni rzeczoną pracę jako splotowaną i wtedy już będzie można używać tego słowa. Na razie zadaniem sobie trud przeczytania kilku innych książek pana Bartosiaka. Jest tam mnóstwo fragmentów przepisanych z cudzych prac, a przypisy służą jedynie zamaskowaniu tego procederu. Odsyłają do tekstów przypadkowo dobranych i luźno związanych z tematem. Wpadka z raportem RAND to wierzchołek góry lodowej.

Prof. Centek: NIE LUBIĘ PLAGIATORÓW

Pod koniec maja br. facebookowo-twitterowa wymiana zdań między Piegzikiem a Bartosiakiem zwróciła uwagę profesora historii z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika – Jarosława Centka.

– Interesuję się plagiatami, czytam rubrykę „Z archiwum nieuczciwości naukowej”, którą prowadzi na łamach „Forum Akademickiego” słynny łowca plagiatów, profesor Marek Wroński – mówi historyk z Torunia. – Mnie samego splotował kiedyś pewien doktor habilitowany z Uniwersytetu Rzeszowskiego, a kiedy sprawa wyszła na jaw, dostał jedynie upomnienie, po czym zmienił uczelnię. Plagiaty w polskiej nauce wciąż są olbrzymim problemem, ja plagiatorów nie lubię, a sprawa jeszcze doktora Jacka Bartosiaka z całą pewnością należy do rozwojowych.

Prof. Centek wziął na warsztat kolejny z rozdziałów książki-doktoratu geopolityka (tytuł części II.3: „Europa 1916”) i zamieścił na YouTube krótki wykład:

– Rozdział liczy raptem trzy strony i jak wyraźnie widać, 25 procent, tak na oko, zostało przepisane dosłownie [znowu z raportu RAND], a myślę, że drugie tyle to jest po prostu parafraza.

Na moją prośbę prof. Centek przysłał zaznaczone przez siebie fragmenty pracy RAND i rozdziału o roku 1916 w Europie.

RAND: „Dwa i pół roku po rozpoczęciu I wojny światowej niemiecki cesarz Wilhelm II zatwierdził – pod silnym wpływem wojska i lobby nationalistów – nieograniczoną wojnę podwodną przeciw amerykańskiemu i innym neutralnym statkom z zaopatrzeniem dla wrogów Niemiec”.

Bartosiak: „Po dwóch latach i sześciu miesiącach trwania Wielkiej Wojny pod ogromnym wpływem kół wojskowych oraz nationalistycznych cesarz Niemiec podjął decyzję o rozpoczęciu nieograniczonej wojny podwodnej przeciw statkom neutralnym, w tym amerykańskimi, płynącym do Europy z dostawami zaopatrzenia dla państw będących wrogami Niemiec”.

RAND: „Bitwa jutlandzka w 1916 roku była taktycznym remisem, ale strategicznym zwycięstwem Wielkiej Brytanii, ponieważ Królewska Marynarka Wojenna powstrzymała niemiecką flotę pełnomorską przed przedostaniem się z Morza Północnego na otwarty Atlantyk. Potem niemiecka marynarka wojenna była w dużej mierze beczczna, podczas gdy Wielka Brytania nadal egzekwowała blokadę kontynentalną”.

Bartosiak: „Bitwa jutlandzka była taktycznym remisem, ale strategicznym zwycięstwem Wielkiej Brytanii, bo uniemożliwiła wydostanie się flocie niemieckiej na Atlantyk w celu przerywania alianckich linii komunikacyjnych i ustanowiła faktyczną blokadę morską Niemiec”.

I tak dalej.

– Jacek Bartosiak jakoś odpowiedział na pański wykład? – pytam prof. Centka.

– Nie, chociaż szczerze mówiąc, spodziewałem się wezwania przedsądowego czy czegoś w tym rodzaju. Pewnie z początku nie zauważył mojego filmu, a teraz może zdaje sobie sprawę, że byłoby już trudno mnie czymś takim zastraszyć.

Red. Radziejewski: SZOK I NIEDOWIERZANIE

Po wystąpieniu profesora z Torunia odezwał się (na Twitterze) politolog Bartłomiej Radziejewski, były redaktor „Frondy” i współpracownik „Gazety Polskiej”, a potem twórca Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego i szef wydawnictwa Nowa Konfederacja.

Jego zarzuty dotyczą kolejnej książki Bartosiaka – wydanej w 2018 roku monografii „Rzeczpospolita między lądem a morzem. O wojnie i pokoju”.

Tweet Radziejewskiego z 7 czerwca: „Szok i niedowierzenie. Pięć lat temu Jacek Bartosiak przesłał mi w ramach przyjacielskiej przysługi rękopis swojej książki do zaopiniowania. Wśród iluś uwag dałem i taką, że kilka fragmentów jego nowego dzieła przepisał z mojego [wydanego w 2018 roku] eseju »Polska racja stanu w srebrnym wieku«. (...) Przestrzegłem więc go po koleżeńsku, ostrzegając, jak wielkie kłopoty mogłyby go spotkać, gdyby tego nie poprawił. Potem książkę już nie czytałem. Na kanwie niedawnych wydarzeń tknęło mnie jednak, by zerknąć ponownie na te fragmenty. Efekt? Kolejny plagiat. Czasem z przypisem do mojego tekstu, czasem nie, raz z przypisaniem sobie słów jeszcze innego autora cytowanego akurat przeze mnie – Andrzeja Mańcynę. Kompilacja przepisanych od innych fragmentów bez cudzysłowów, czyli z pozorowaniem własnego ich autorstwa. Podobnie jak we wcześniej ujawnionych przypadkach kombinacja umyślowej bylejałości i niechlujności z totalną pogardą dla własności intelektualnej. Jak można było tego nie poprawić, mając na tacy podaną koleżeńską przestrożę? Jak można było okraść (ówczesnego) przyjaciela? I co ważniejsze: ile jeszcze jest takich fragmentów w twórczości Bartosiaka? Ile jego też jest naprawdę jego? Czy to permanentna praktyka?”.

Do tweeta Radziejewski dołączył skany obu publikacji.

Esej „Polska racja stanu...”: „Polskę po 1989 roku zalał zachodni kapitał, dominując wiele najintrańszych branż takich jak bankowość, wielki handel, zaawansowany przemysł. Był to proces ambiwalentny. Z jednej strony przyniósł szybki napływ kapitału, wyższej kultury organizacyjnej i postępu technicznego. Z drugiej: odebrał Polakom kontrolę nad wieloma kluczowymi obszarami gospodarki i wytworzył mechanizm neokolonialnej renty, czyli drenażu kapitałowego tylko w części oficjalnej sięgającego w ostatnich latach 5 proc. PKB i ponad 80 mld zł rocznie”.

Bartosiak w „Rzeczpospolitej między lądem...”: „Polskę po 1989 roku zalał zachodni kapitał, dominując wiele najintrańszych branż takich jak bankowość, wielki handel, zaawansowany przemysł. Z jednej strony przyniósł szybki napływ kapitału, wyższej kultury organizacyjnej i postępu technicznego, ale z drugiej strony odebrał lokalną kontrolę nad wieloma kluczowymi obszarami gospodarki i wytworzył mechanizm neokolonialnej renty, czyli drenażu kapitałowego tylko w części oficjalnej sięgającego w ostatnich latach 5 proc. PKB i ponad 100 mld zł rocznie”.

Esej „Polska racja stanu...”: „Największym źródłem rozkładu systemu światowego jest dziś wzrost potęgi Chin. Potrafiły one podjąć skuteczną grę z globalizacją (i zachodnimi hegemonami) w sposób, który umożliwił im (...) stanie się jej czołowym beneficjentem. (...) Dość wspomnieć, że wymiana handlowa Chin – UE jest już dziś – po wartę 630 mld euro [wymianie] europejsko-amerykańskiej – największą dwustronną wymianą na świecie. W zeszłym roku wynosiła 573 miliardy euro...”.

Bartosiak w „Rzeczpospolitej między lądem...”: „Największym źródłem rozkładu systemu światowego jest dziś wzrost potęgi Chin. Potrafiły one podjąć skuteczną grę z globalizacją w sposób, który umożliwił im stanie się jej czołowym beneficjentem. Dość wspomnieć, że wymiana handlowa Chin – UE jest już dziś – po wartę 630 mld euro europejsko-amerykańskiej – największą dwustronną wymianą na świecie. W 2017 roku wynosiła 573 miliardy euro...”.

– Widać czarno na białym, że Bartosiak zwyczajnie przepisuje – mówi mi Radziejewski. – Z jego tezami geopolitycznymi można się zgadzać lub nie – ale teraz swoimi czynami przenosi dyskusję na poziom: „czy wolno być złodziejem cudzej własności intelektualnej”.

Red. Wolski: TRZEBA WZNOWIĆ DOKTORAT

W pierwszej połowie czerwca w sprawie Bartosiaka głos na Twitterze zabrali m.in. doktor politologii Ernest Wyciszkievicz (Klub Jagielloński), ekspert w sprawach armii i redaktor pisma „Nowa Technika Wojskowa” Jarosław Wolski oraz aktywny i obserwujący konto geopolityka twitterowicz Piotr Leski. Dwaj pierwsi porównali fragmenty tekstów doktora z angielskojęzycznymi publikacjami na te same tematy – i odkryli kolejne ukryte przed czytelnikami przywłaszczenia. Wolski napisał, że sprawa dojrzała już „do wznowienia przewodu doktorskiego” autora zapożyczeń.

Leski podszedł do sprawy metodycznie – w serii tweetów porównał fragmenty różnych książek Bartosiaka z ich – niekiedy nawet polskimi – pierwowzorami oraz przyjrzał się kwestii przypisów.

Odkopany przez internautę tekst przedwojennego historyka i varsavianisty Stanisława Herbsta „Polski teatr wojny”: „[Polska] szata roślinna uległa w ciągu wieków zasadniczej zmianie. Rozwój osadnictwa przed katastrofą w połowie XVII wieku prowadził do wylesienia i rolniczego opanowania terenów niegdyś w 75 procentach pokrytych lasami. Rozwój elementów gospodarki kapitalistycznej (...) o szczególnie rabunkowym charakterze w zaborze rosyjskim zmniejszył stopień zalesienia do 25 proc.”.

Bartosiak w „Rzeczpospolitej między lądem...”: „[Polska] szata roślinna uległa w ciągu wieków również poważnej zmianie. Rozwój osadnictwa przed pożogą potopu w XVII wieku prowadził do wylesienia i rolniczego opanowywania terenów, które kiedyś w 75 procentach były lasami, podczas gdy już w XIX stuleciu zalesienie spadło grubo poniżej 25 proc. w wyniku przede wszystkim rabunkowej gospodarki w zaborze rosyjskim”.

Herbst w „Polskim teatrze wojny”: „Obok dolin przeszkodami były puszcze jako kompleksy bagien i lasów. Rozdzielały one strefy drożne, a same stanowiły schroniska dla ludności uchodzącej przed działaniami. Puszcza Sandomierska zahamowała odwrót Karola Gustawa spod Jarosławia, Puszcza Radomska – odsiecz Fryderyka Badeńskiego, a w konsekwencji przygotowała jego klęskę pod Warką (...). Ludność Puszczy Kurpiowskiej (Zielonej) walczyła ze Szwedami w r. 1656 i 1708, Białej – zaważyła na działaniach Powstania Listopadowego”.

Bartosiak w „Rzeczpospolitej między lądem...”: „Oprócz dolin rzecznych również puszcze i kompleksy bagien czy lasów były poważnymi przeszkodami. Rozdzielały strefy drożne i same stanowiły schroniska dla ludzi przed działaniami wojennymi. W 1656 roku Puszcza Sandomierska zahamowała odwrót Karola Gustawa spod Jarosławia, a Puszcza Radomska odsiecz Fryderyka Badeńskiego – w konsekwencji doprowadziło go to do klęski pod Warką w kwietniu 1656 roku. Ludność Puszczy Kurpiowskiej i Zielonej walczyła skutecznie ze Szwedami (...), a Puszcza Biała stanowiła bazę operacyjną dla działań polskich w powstaniu listopadowym oraz w czasie powstania styczniowego”.

Po słowie „styczniowego” w książce dr. Bartosiaka znajduje się przypis nr 1332, który jednak odsyła nie do tekstu Herbsta... ale do książki „Geografia wojenna Rzeczypospolitej Polskiej i ziem ościennych” autorstwa innego przedwojennego historyka – zarazem oficera i powieściopisarza Romana Umiaostowskiego.

Dr Piegzik:

*Zadałem sobie trud przeczytania
kilku książek pana Bartosiaka.*

*Jest tam mnóstwo fragmentów przepisanych
z cudzych prac, a przypisy służą jedynie
zamaskowaniu tego procederu*



Prof. Góralczyk: WĄTPLIWY JEDEN ROZDZIAŁ

Promotor pracy doktorskiej geopolityka – sinolog, dyplomata i wykładowca UW prof. Bogdan Góralczyk – początkowo wziął Bartosiaka w obronę. Jeszcze w maju, po pierwszych sygnałach od dr. Piegzika, napisał na Twitterze: „Doktorat J. Bartosiaka napisany w 2015 r. był jednym z najlepszych, jakie znam i miałem w rękę. Był na naszym rynku pionierski i nie dziwi fakt, że jego późniejsza wersja książkowa odniosła taki sukces i wywindowała Autora na pozycje, na których się znalazł. Istotą pracy było strukturalne zderzenie mocarstw prowadzące do wojny. Zarzuty o plagiat dotyczą, jak rozumiem, jednego rozdziału w doktoracie, napisanego jako historyczna ilustracja. Czy można mówić o plagiacie, jeśli jest tam zbiorczy przypis?”.

Gdy okazało się, że oskarżenia dotyczą wcale nie jednego rozdziału i nie jednej książki, Góralczyk zamilkł. Pytany o powody milczenia przez obserwującego go twitterowicza Borysa Walentka odpisał zdawkowo: „Doktorat to poważna sprawa, nie powód do igrzysk. Amen”.

Igrzyska jednak będą – w PAN wszczęto już postępowanie wyjaśniające.

– Zarzuty o możliwym popełnieniu przez Jacka Bartosiaka plagiatu w pracy doktorskiej przyjęliśmy – jako instytut, który przyznał mu ten stopień naukowy – z przykrością i zaskoczeniem – mówi mi Maciej Łuczak, radca prawny ISP PAN. – Sprawa została przekazana do Komisji Etyki Rady Naukowej w Instytucie. Obecnie toczy się postępowanie, które ma na celu weryfikację zgłoszonych zarzutów. W ramach tych czynności wezwano doktora Bartosiaka oraz promotora jego pracy – jest nim prof. Bogdan Góralczyk – do złożenia pisemnych wyjaśnień. Jeśli wątpliwości dotyczące zarzutu plagiatu nie zostaną usunięte, wówczas rada podejmie decyzję o formalnym wszczęciu postępowania administracyjnego [w sprawie odebrania tytułu naukowego].

Pytam profesora Góralczyka, jak skomentuje słowa dr. Piegzika o nadciągającej „klęsce PAN”.

– Piegzik przesadził. Doktorat Jacka Bartosiaka, jak już mówiłem, jest pracą dobrą, a nawet jedną z lepszych, jakie czytałem. Wątpliwości budzi tam tylko jeden rozdział, który ma sporządzone niezgodne z zasadami naukowymi przypisy.

– Prof. Centek z Torunia, red. Radziejewski z Krakowa i kolejne osoby wskazują coraz to nowe teksty dr. Bartosiaka, w których pojawiają się cudze frazy.

– Zanim zostanie przesłuchany przez komisję etyki, nie chcę rozmawiać z mediami o szczegółach. Jako promotor też jestem stroną w sprawie.

Dr Bartosiak: NIE DOSZŁO DO NARUSZENIA

20 czerwca dzwonię do geopolityka. Bartosiak rozmawia chętnie, choć – jak mówi – ma świadomość, że kolejne publikacje na temat afery wyłącznie mu szkodzą. Do plagiatu absolutnie się nie przyznaje.

– Nie ma żadnych podstaw merytorycznych do kwestionowania mej pracy. To był doktorat prekursor-ski na skalę wykraczającą poza Polskę, a recenzenci podkreślali rzetelność prowadzonych przeze mnie badań, bogaty materiał źródłowy oraz istotny wkład w rozwój wiedzy. Książka była przedmiotem wielu recenzji, tak pisemnych, jak i w materiałach wideo na YouTube. Wynikła z niej wspaniała intelektualna przygoda – moja oraz dziesiątków tysięcy ludzi, którzy się tematem zainteresowali. Właśnie taka była wtedy moja idea: chodziło o popularyzację wiedzy dotyczącej nadchodzącego konfliktu USA z Chinami. Praca otworzyła oczy wielu osobom. Czy właśnie nie to jest jednym z najważniejszych celów działalności naukowej?

– A skąd podobieństwa do raportu RAND?

– Do tego raportu odsyła przypis zbiorczy w mało istotnym, historycznym rozdziale dodatkowym. Krótko mówiąc: nie doszło do żadnego naruszenia, które by mogło skutkować podważeniem wartości i rzetelności całej mojej pracy doktorskiej. Kropka.

– Co z zarzutem red. Radziejewskiego o podobieństwie „Rzeczpospolitej między lądem...” do jego eseju „Polska racja stanu...”?

– Zarzut jest nieuzasadniony. Podalem nazwisko pana Radziejewskiego jako źródło nie tylko w przypisie, ale i w samym tekście. A on zamieścił na Twitterze fragmenty mojej i swojej publikacji w taki sposób, że trudno te przypisy dostrzec.

Radziejewski: – Bartosiak chyba nie rozumie, czym jest przypis. To nie jest licencja na przepisywanie. Odzyskalbym może szacunek do niego, gdyby zamiast stawiać zasłony dymane, powiedział zwyczajnie: „zblądziłem” i „przepraszam”. ●

Po 36 latach ciemności

WIDZENIE

Zjeździłem cały świat,
ale niczego nie widziałem

S

Serhij jest ruchliwy, często wstaje, gestykuje. Opo-
wiada szybko i pewnie, wyraźnym rosyjskim. Wcze-
śniej w rozmowach telefonicznych głos miał znużony,
zniechęcony. – Nie chcę rozmawiać – powtarzał.
– Na początku przyjechali dziennikarze, wypytywali
mnie, ale ja po prostu nie chcę być medialną sensa-
cją. Ktoś może źle mnie zrozumieć, źle ocenić.

WYGRANA

Serhij Sydorenko zaczyna od sukcesów. Dżudo
trenował w szkole podstawowej, na matę wrócił, gdy
miał 27 lat. Wspomnienia wyraża całym ciałem.

– On zawsze był najlepszy. Niepokonany Jackson,
Anglik. Doszliśmy razem do finału. Mistrzostwa
świata w Quebecu, 2003 rok, ogromna hala, wyprowa-
dzają go pierwszego. Nie widzę go, ale słyszę wiwaty,
cały Zachód mu kibicuje – Europa, USA. Potem sędzia
wyprowadza mnie. Mam za sobą kraje byłego ZSRR.
Zaczynamy. Jackson jest wyższy ode mnie, więc
wychodzi mi niepełny rzut, dostaję punkty za waza-ari
– Serhij pokazuje chwyt dżudo. – W hali słyszę okrzy-
ki: „Jackson! Jackson!”. Ale on rusza się ostrożniej, już
wie, że to ja jestem silniejszy. Jeszcze minuta, może
półtorej. Udaje mi się powalić go na plecy, ten rzut to
ippon. I nagle słyszę jego wrzask i tupanie. Trener mu-
siał go uspokoić. Zostałem mistrzem świata. To tytuł
na całe życie – Serhij prostuje się, siada przy stole.

Turnieje dżudo dla osób niewidzących są podobne
do tradycyjnych. Różnica jest taka, że zawodnicy
czekają, aż sędzia ich wyprowadzi i rzuci komendę
„Hajime!”, wtedy zaczynają. Gdy puszczają się w wal-
ce, sędzia przerywa i znów ich łączy. Serhij walczył
w klasie B1, jako niewidzący.

– Moimi przeciwnikami byli też słabowidzący
i z resztką widzenia, B2 i B3. Tak było na olimpia-
dach i mistrzostwach. Od niedawna zmieniły się za-
sady, teraz każda kategoria walczy oddzielnie – wy-
jaśnia Serhij. – Mnie to już nie dotyczy, w 2008 roku
przywoziłem z paraolimpiady w Pekinie brązowy
medal i jestem na sportowej emeryturze.

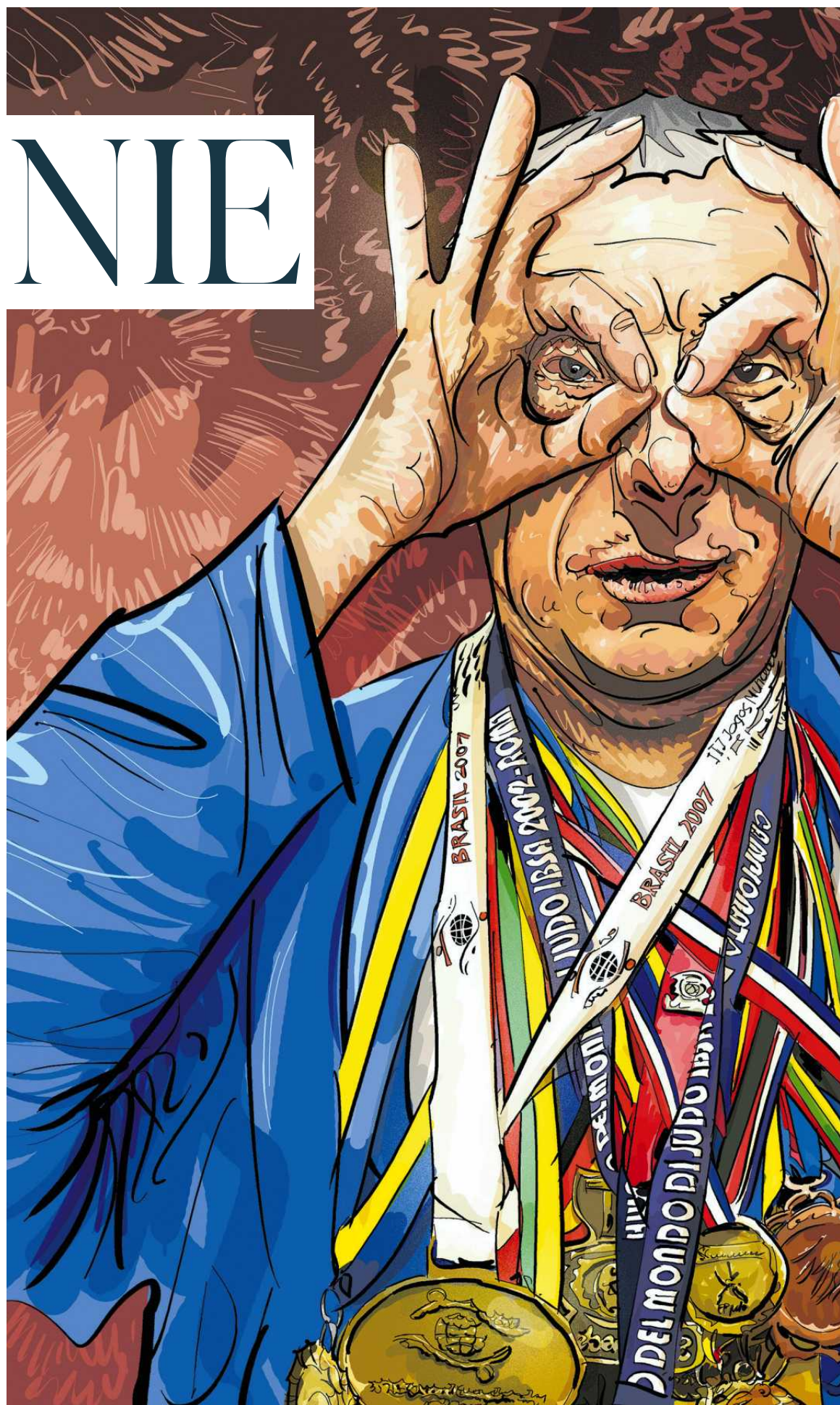
CIAŁO I DUCH

Samodyscyplina to dla Serhija więcej niż sprawność.
Nie ma wątpliwości, że nastawienie psychiczne jest
kluczowe, ważniejsze niż forma fizyczna, nie tylko
w sporcie. Uważa, że wygrywał dzięki silnej psychice.

– Byłem w wojsku, gdy nastąpił wypadek. To był
rok 1987. Zwykle nikomu nie mówię, co dokładnie się
wydarzyło. Nie chcę – Serhij ścisza głos, kręci głową
i ucina wątek. – Zostałem 19-letnim inwalidą. Nie opu-
ściłem rąk, nie zacząłem pić jak niektórzy. Kiedy czło-
wiek zostaje ranny i coś traci, wzrok albo nogi czy ręce,
to musi skonfrontować się ze sobą, ustalić, co będzie
dalej. Czy myśli: „Jest mi ciężko, nie dam rady”. Czy
podejmuje walkę, zdobywa rodzinę i zawód. Jak ja.

Po kursie zaczął pracować w klinice jako masażysta.
Ludzie przyjeżdżali do niego nawet z zagranicy.
Równoległe trenował dżudo i zaproponowano mu
uprawianie sportu paraolimpijskiego. W 2000 roku
został dżudoką na pełen etat, z wynagrodzeniem. Mu-
siał wybrać – kariera sportowca albo masażysty.

– To wcale nie było dla mnie oczywiste. W masażu
troszczysz się o czyjeś ciało, starasz się pomóc czło-
wiekowi. W walce człowiek staje się przeciwnikiem



i starasz się go zwyciężyć. Z szacunkiem, ale musisz go
pokonać. A czasem trzeba unieść porażkę. W Quebecu
walczyłem z mistrzem świata, Persem. Przed walką pu-
szył się: „Ja, czempion!”. Usłyszał ode mnie: „To ja będę
czempionem”. A wtedy poklepał mnie po plecach: „Nie,
nie. Ja będę!”. Zwyciężyłem, a on się obraził i nawet nie
podał mi ręki po walce. Na zawsze wycofał się z dżudo.

Serhij miał po trzy treningi dziennie. Gdy był
chory, żona Tamara czasami mówiła mu: „Nie idź”.
Zawsze odpowiadał: „Pójdę”. Kimono miał mokre po
ćwiczeniach, tracił wagę, żeby wpaść w kate-
gorię 73 kilogramów. Walczył.

Kolejne wyzwanie pojawiło się, gdy po 2008 roku
zakończył karierę w sporcie.

– Nie przeżyłem wielkiego szoku, bo nadal treno-
wałem tak intensywnie jak wcześniej i wróciłem do
masażu. To mój pierwszy zawód, jestem w tym dobry.

ŻONA NA FRONCIE

Obok mistrza świata zawsze była żona. Serhij poznał
Tamarę już po wypadku. Pobrali się, urodzili się dzie-
ci, Margarita i Dmytro. – W kuchni Tamara zarabiała
ciasto, kroila, ja mieszałem farsz i lepiałem pierogi, ona

gotowała. Niektórzy mówili ze współczuciem: „Ona
wszystko musi z nim robić”. A ja nie miałem problemu
z przyjęciem pomocy, to dla mnie normalna rzecz,
inni też tak żyją – Serhij podkreśla, że wszyscy jego
niewidomi znajomi mają żony i dzieci. – W związku
wcale tak dużo nie zależy od tego, czy człowiek widzi.
Przecież nawet zdrowi ludzie kłócą się i rozstają. Teraz
jest wiele rozwodów, przez wojnę.

Temat wojny podrywa Serhija z krzesła. Stojąc,
wyjaśnia, dlaczego w Ukrainie wszyscy muszą wal-
czyć i dlaczego nie walczą wszyscy.

– Wojna nie jest dla każdego. Iu jest zdrowych
facetów, którzy potrafią zabić człowieka, choćby nie
wiem co. Ta wojna nikomu nie jest potrzebna. Młod-
dzi, dwudziestolatkowie i niewiele starsi, umierają
albo tracą sprawność. Oni jeszcze nic w życiu nie
widzieli. Kiedy człowiek ginie na froncie, na grobie
wywieszają się flagę Ukrainy. Tamara mówi, że teraz
cmentarz w naszym Żytomierzu jest niebiesko-żółty.
Z drugiej strony, kto ma bronić Ukrainy? W Żyto-
mierzu rosyjski pocisk zniszczył szkołę, aż wypadły
szyby z okien niedaleko, w szpitalu położniczym.
Przemoc rodzi zemstę, zemsta kolejną zemstę, bez
końca. Ale nie można się poddać, nigdy – Serhij
zaciska pięści. – Nawet gdy się boimy.

JAKUB
KRZYŚKA



RYŚ. KRZYSIEK OSTROWSKI

Co by było, gdyby? Pytanie, które pojawia się nawet wtedy, gdy tracimy znacznie mniej niż wzrok. Serhij odpowiada szybko, bez wahania.

– Byłbym generałem i walczyłbym w Ukrainie. Jestem z wojskowej rodziny. Trochę się wstydzę, może nie wstydzę, ale mam w sercu takie ukłucie, że inni walczą, a ja nic nie mogę zrobić. Mógłbym chociaż rehabilitować naszych żołnierzy, taki masażysta na froncie. Tym bardziej że po 36 latach odzyskałem wzrok.

PRYZSTANEK POZNAŃ

Serhij mocuje się z życiem, a jednocześnie wierzy w przeznaczenie. Z Żytomierza wyjechał z rodziną z powodu wojny. To, co wydarzyło się później, odczytuje jako działanie siły wyższej.

– Poprowadził nas Bóg. Gdy się zaczęło, wszyscy nokoło mówili, żebyśmy jechali, więc wyjechaliśmy. Były różne warianty – Londyn, Warszawa i inne, a znaleźliśmy się z córką w Poznaniu. Zaprosiła nas pani Teresa, mieszkała u niej już kilku Ukraińców. Niespodziewanie w dniu, w którym do niej przyjechaliśmy, wszyscy goście się wyprowadzili. Byliśmy jedyni i tak zostało. To była pierwsza z niezwykłych sytuacji u pani Teresy.

Pani Teresa rozpropagowała usługi Serhija wśród znajomych, zdobyła składane łóżko. Mógł pracować jako masażysta.

– Wszystko, co mnie spotkało, było zupełnie niespodziewane. Przyjechało do mnie na masaże małżeństwo z Katowic, to rodzina pani Teresy. Opowiedzieli nam o klinice w Sosnowcu i okuliście, doktorze Dariuszu Dobrowolskim. Pomogli mi, dostałem się do niego na wizytę.

Doktor Dobrowolski zbadał ukraińskiego dżudokę. Stwierdził oparzenie chemiczne obojga oczu i wpisał go na listę oczekujących na operację. Serhij usłyszał: „Będzie pan widział”.

– Tak się zapaliłem, jakbym czekał na mistrzostwa świata – Serhij zrywa się, przyspiesza mu oddech. – Mieliśmy czekać na operację półtora roku, więc wróciliśmy do Ukrainy. Wtedy znowu Rosjanie zaczęli bombardować. Baliśmy się, że odetną nam drogę i nie będziemy mogli wyjechać.

Zdążyli. W Polsce znów swój dom otworzyła pani Teresa. Z jej pomocą udało się przyspieszyć operację. Zabiegali o to także Wiktoria Laskowska-Szczur, przewodnicząca Żytomierskiego Obwodowego Związku Polaków na Ukrainie, Wołodmyr Stelmach, działacz polonijny z Żytomierza, i Witalij Buneczko, przewodniczący administracji obwodu żytomierskiego.

Serhij trafił pod opiekę profesora Edwarda Wylęgały, kierownika Katedry Okulistyki w Zabrzu. Badania, potem wahanie, wreszcie decyzja profesora, że osobiście przeprowadzi operację w katowickim szpitalu, w asyście doktora Dobrowolskiego.

– W prawym oku mam wykonany zabieg usunięcia bielma rogówki. Do tego usunięcie zaćmionej soczewki i przeszczep amerykańskiej sztucznej rogówki typu Boston 1. To wyjątkowa operacja, w Polsce pierwsza przy takim urazie jak chemiczne oparzenie oczu.

ŚWIAT WIDZIANY NA NOWO

Serhij po raz drugi przechodzi etapy rozwoju człowieka, od dziecka do dorosłości. Tak postrzega swoją naukę widzenia świata na nowo.

– Pielęgniarka otwiera mi oko i zakrapla, a ja widzę światło – Serhij relacjonuje pierwsze chwile po 36 latach w ciemności. – „Nic, nic, wszystko dobrze, wszystko normalnie” – takie były moje pierwsze słowa do Tamary. Potem zobaczyłem w lustrze, jak się postarzałem. Od razu zacząłem marzyć, żeby wrócić do sylwetki sportowca i czuć się młodym, żyć zdrowo.

Nie wolno mu było patrzeć na monitor telefonu, ale musiał zobaczyć zdjęcia dzieci, spojrzeć na nie po raz pierwszy. Jest z nich dumny. Oboje, jak ojciec, nie piją i nie palą, uprawiają sport – Dmytro gimnastykę, breakdance i koszykówkę, Margarita pływanie, studiuje też zdalnie angielski i francuski na uniwersytecie w Żytomierzu.

– Chciałbym cofnąć czas, wcześniej odzyskać wzrok. Żałuję, że nie widziałem, jak dzieci były małe, jak dorastały. Syn ma 31 lat, a córka 19. Może będą ich postrzegać inaczej, teraz, gdy zobaczyłem ich po raz pierwszy i od razu są dorośli – zastanawia się Serhij. – Byłem nastolatkiem, gdy po raz ostatni widziałem mamę i rodzeństwo. Mam w głowie ich dawne wyobrażenia. Co będzie, gdy ich zobaczę? Nie mogę im przecież powiedzieć: „Jak się postarzeliście!”

To było zupełnie niespodziewane.

Przyjechało do mnie na masaże

małżeństwo z Katowic.

Opowiedzieli o klinice

w Sosnowcu i okuliście,

doktorze Dariuszu Dobrowolskim.

Dostałem się do niego na wizytę

i usłyszałem:

„Będzie pan widział”

Serhij ma wrażliwy dotyk, wyczuwa spięcia w ciałach pacjentów. Wzrok był zapomnianym zmysłem, zaskoczył go.

– Po wyjściu z kliniki spieszyliśmy się na pociąg. A ja chciałem wszystko chłonąć. Mówiłem do Tamary: „Poczekaj, chcę chwilę obserwować”. Wpatrywałem się w psy, w dzieci, w dorosłych. Mózg od razu zaczął się przestawiać. Taki przykład – jedzenie. Kiedyś po prostu jadłem, a teraz oglądam, sprawdzam, co jest w środku. Jem z większą świadomością i bardziej mi smakuje – śmieje się Serhij.

Na ulicach Katowic Serhija zdziwiły samochody. W jego wspomnieniach jeździły sowieckie lada. Na liście zaskoczeń jest też telefon. Serhija szokuje, że służy nie tylko do rozmawiania, że można na nim obejrzeć filmy, zdjęcia, znaleźć wszystkie informacje. Z postępem technologicznym wygrała jednak wiosna.

– 1 maja szliśmy przez park. Od tyłu lat tak jej nie widziałem. Po operacji w grudniu wszystko było ciekawe, ale szare i smutne. A teraz wszędzie liście i kwiaty, jakbym odzyskał wzrok po raz trzeci – zachwyca się Serhij. – Wiedziałem, że liść jest zielony, a ziemia czarna, ale kolory były tylko w mojej pamięci, nie mogłem ich doświadczać, jak teraz.

Podobnie jest z gestami i mimiką. Serhij obserwuje, czy ktoś mówi i myśli to samo. Podkreśla, że to możliwość lepszej komunikacji, zrozumienia drugiego człowieka, rozpoznania intencji.

Gdy przed operacją żona oglądała telewizję, Serhij słuchał, pytał ją o akcję, o bohaterów i ich wypowiedzi. Teraz ma dostęp do całości. Okazało się, że świat filmowy i aktorzy wyglądają inaczej niż w jego wyobrażeniach. Jedynie Arnold Schwarzenegger nie zawiódł, pasuje do portretu, jaki Serhij stworzył w głowie. Transmisje sportowe, a zwłaszcza dżudo i sale do sportów walki, oszalałają go dynamiką i nowoczesnością.

– Nie wiem, czy świat jest ładniejszy niż kiedyś. Jest inny, ciekawy, dla mnie nowy. Na zewnątrz muszę chodzić w ciemnych okularach, ale i tak jest pięknie. Chociaż są też straszne rzeczy, nagrania i zdjęcia z Ukrainy, wolałbym ich nigdy nie zobaczyć. „Przestawianie mózgu” dotyczy całej rodziny.

Od czterech miesięcy zmieniają nawyki utrwalone przez lata. W sklepie córka może go już spuścić z oka, ale jeszcze panikuje, gdy Serhij zniknie między regałami. Żona z przyzwyczajenia próbuje prowadzić go za rękę. Rodzina z Ukrainy dziwi się, gdy Serhij opowiada, co widział lub robił.

– Czasem nadal myślę, że muszę poczekać na żonę albo na czyjąś pomoc. A potem sobie uświadomiam, że sam to potrafię. Ostatnio czekałem, aż Tamara wróci z lekcji polskiego, ale w końcu dotarło do mnie, że przecież mogę bez niej wyjść na ulicę, przejść się do parku – mistrz świata kiwa głową. – Byłem niesamodzielnym, potrzebowałem ciągłej pomocy. Wszędzie mnie wozili, patrzyli, czy nie zrobię sobie krzywdy. Czuję się, jakbym dopiero nauczył się chodzić, takie dorosłe dziecko.

WSPARCIE

Odzyskanie wzroku ma swoją cenę. Rekonwalescencja nie dopuszcza wysiłku, niezbędnego przy pracy masażysty i ćwiczeniach fizycznych. Aktywność dla Serhija zawsze była ważna, chętnie też pokazuje ją innym.

– Sąsiad tu, w Poznaniu, widział, jak trenuję. Pani Teresa i jej córka Marta były zaskoczone, gdy dowiedziały się, że też zaczął ćwiczyć. Teraz mam przerwę. Moje oko wciąż jest czerwone, zakraplam je co godzinę. Potrzeba kilku miesięcy, żeby się zagoiło. Coś muszę robić z energią. Powoli wracam do aktywności fizycznej. Chodzimy na spacer do lasu, ale to za mało. Chcę znów zająć się treningiem, a nie siedzieć i nic nie robić. Sam ugotowałem rosół – chwali się Serhij.

Serhij zamierza się doksztalcić na kursie masażu. Zakłada, że jako widzący będzie pracować inaczej, może pozna nowe techniki. Chce zobaczyć morze i góry, zwiedzić miejsca, w których był, a których nie widział. Czeka na drugą operację.

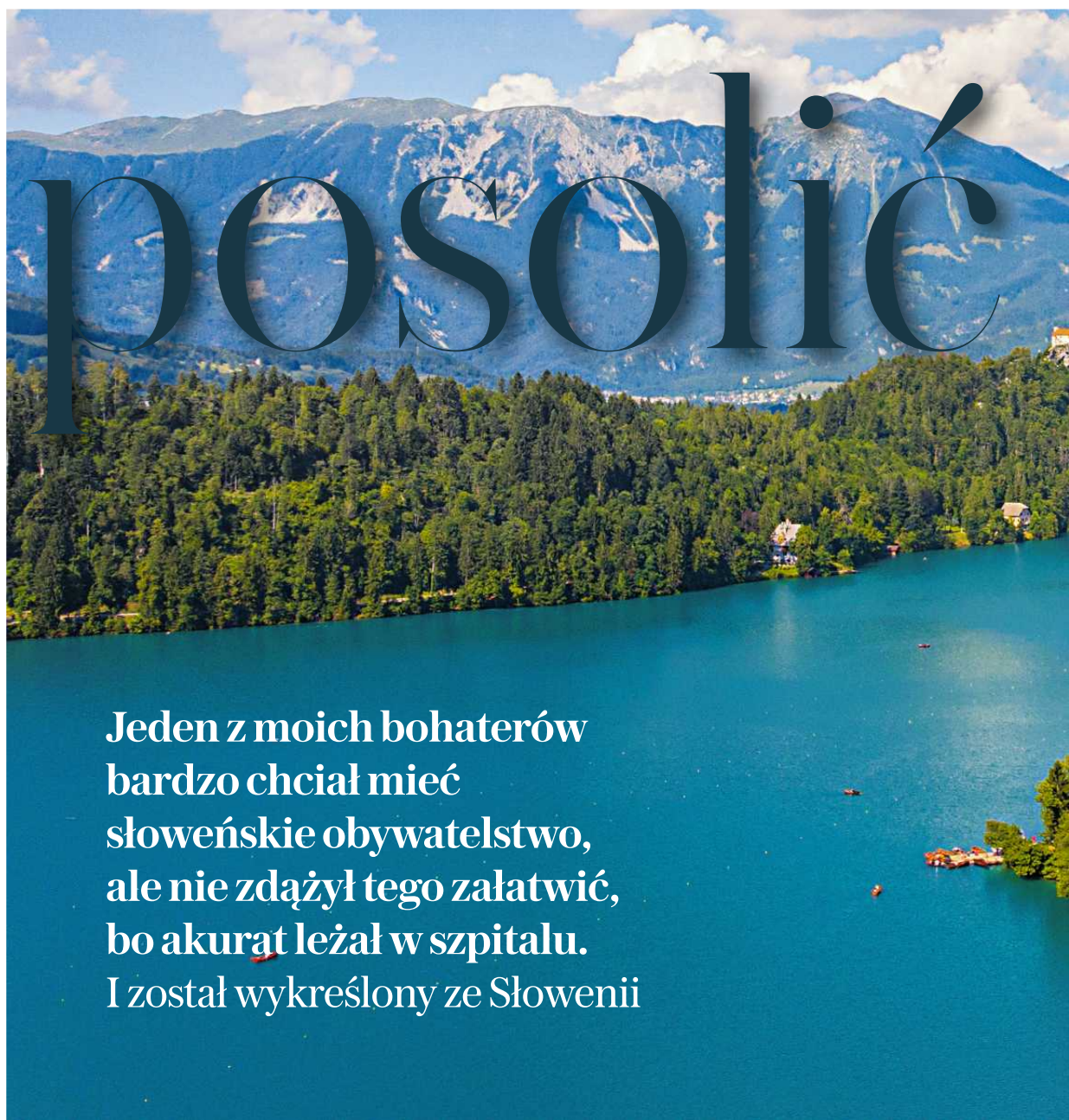
– Z bliska dobrze widzę, ale daleko jeszcze niezbyt ostro. Doktor Dobrowolski powiedział, że gdy zoperuję drugie, lewe oko, to prawym też będę lepiej widział. Potem trzeba będzie znów jeździć na kontrolę. A my chcemy być już w domu, mam nadzieję, że uda się jeszcze w tym roku wrócić do Ukrainy.

Swoją historią Serhij podzielił się na prośbę pani Teresy z Poznania. Zależy mu, żeby napisać o jej wsparciu, są jak rodzina. Darzy ją zaufaniem i jest jej tak samo wdzięczny jak śląskim okulistom.

– Zjeździłem cały świat, przywoziłem medale, a niczego nie widziałem – kończy Serhij. – A teraz wszystko jest możliwe, gdy wokół są tacy ludzie. ●

Co musisz wiedzieć o Słowenii

IDŹ SIĘ



**Jeden z moich bohaterów
bardzo chciał mieć
słoweńskie obywatelstwo,
ale nie zdążył tego załatwić,
bo akurat leżał w szpitalu.
I został wykreślony ze Słowenii**

Z **ZUZANNĄ CICHOCKĄ**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „SŁOWENIA. MAŁY KRAJ WIELKICH ODLEGŁOŚCI”, ROZMAWIA **URSZULA JABŁOŃSKA**

Polacy zaraz ruszą do Chorwacji na wakacje. Będą przejeżdżać przez Słowenię. Zatrzymują się tam w ogóle?

Niektórzy na przykład przy jeziorze Bled z wyspą pośrodku, na której jest kościół. To malowniczy widok. W którejś wersji Windowsa zdjęcie Bledu było nawet wygaszaczem ekranu. Czasem wybierają też jaskinię Postojna, gdzie żyją odmienne jaskiniowe, „małe smoki”, one występują prawie wyłącznie w tym miejscu i potrafią przeżyć bez pożywienia nawet dziesięć lat.

A jakie miejsca ty byś poleciała?

Przede wszystkim Veliką Planinę, osadę pasterską w górach. To jest wieś na polanie, gdzie od wieków w czerwcu jeden pasterz z każdej rodziny z okolicy udaje się ze stadem, żeby wypasać bydło i wytwarzać sery przez całe lato. W tym miejscu bardzo widać słoweńską miłość do natury, do tradycji i dbałość o to, by przetrwały w jak najmniej zmienionej formie. Mimo że coraz więcej tam turystów i domki pasterzy są stopniowo przez nich przejmowane. Dojeżdża tam kolejka górską, więc nie trzeba wchodzić. Osobiście nie jestem wielką fanką chodzenia po górach.

W przeciwieństwie do Słoweńców.

Oni mają nawet specjalne słowo hribomanija, które oznacza obsesję na punkcie gór. Słoweńcy są bardzo aktywni i chodzenie po górach to popularny sposób spędzania wolnego czasu.

Najwyższy szczyt Alp Julijskich, Triglav, jest widoczny z różnych zakątków kraju. Wierzono, że mieszka tam Trzyglów, bóstwo, które nadzoruje ziemię, podziemia i niebo. Ta góra zawsze wydawała się ludziom magiczna. Kiedy jej szczyt został kupiony przez Słoweńców, stała się symbolem kraju, widnieją nawet na fladze.

Można tak sobie po prostu kupić szczyt góry?

W XIX wieku, kiedy zaczęły powstawać słoweńskie ruchy narodowościowe, Słoweńcy ścierali się z etnicznymi Niemcami, którzy też mieszkali na tych terenach. Prowadzili wyścig o góry. Kto pierwszy zdobył jakiś szczyt, stworzył oznakowania i szlaki, przejmował górę. Z Triglavem nie potrafili dojść do porozumienia. W końcu ksiądz, który sprowadził się do wsi u podnóża, postanowił, że po prostu kupi wierzchołek Triglavu i wtedy ta góra na pewno będzie już słoweńska. Dzisiaj mawia się, że każdy Słoweńiec przynajmniej raz w życiu musi wejść na Triglav.

I wchodzą?

Tak. Rekordzista Franjo Potočnik zdobył szczyt ponad tysiąc razy w ciągu siedemnastu lat.

Słowenia jest wielkości województwa podlaskiego, więc z Lublany można pojechać na kilka godzin w góry. Jak mówi jeden z moich bohaterów – w górach telefon powinien być na dnie plecaka, problemy gdzieś daleko, a cała uwaga skupiona na bieżącej chwili.

Ponad połowę terytorium Słowenii zajmują lasy.

Tak. To trzeci kraj w Europie pod względem powierzchni lasów i Słoweńcy chętnie się tym chwala.

Podobnie jak tym, że woda jest u nich czysta i zdarna do picia. Jest prawem, a nie produktem, dostęp do niej jest zapisany w konstytucji.

A morze? Mają tylko nieco ponad czterdzieści kilometrów linii brzegowej. Chętnie tam jeżdżą?

Niektórzy jeżdżą, ale turystów jest tam bardzo dużo, mają właściwie tylko jeden kurort z plażą i deptakiem – Portorož. Poza tym na wybrzeżu są miasteczka, w których toczy się zwykłe życie, a zamiast plaży jest tylko drabinka, po której schodzi się do morza.

O Lublanie napisałaś, że została „skrojona na miarę marzeń urbanisty o mieście idealnym”. Co to znaczy?

Lublana w poprzednim wieku została zaprojektowana, a raczej uporządkowana, przez architekta Jožego Plečnika. Zaprojektował całe nabrzeże wzdłuż rzeki Lublanicy oraz Tromostovje – trzy mosty. A także pojedyncze budynki, na przykład Bibliotekę Narodową i Uniwersytecką, i wiele placów i skwerów.

Dzisiaj Słoweńcy starają się coraz większą część centrum zamykać dla samochodów, usprawniać transport rowerowy, komunikację miejską. Dodatkowo w mieście jest dużo zieleni.

W książce zabierasz nas także do trochę innej Lublany, na Fužiny.

To dzielnica na skraju Lublany. Zaczęto o niej myśleć w latach 50., kiedy do Słowenii jako do najlepiej rozwiniętej części Jugosławii zaczęli przyjeżdżać ludzie z innych republik. Pracowali na budowach czy w innych miejscach, w których nie chcieli zatrudniać się Słoweńcy. Tych ludzi sprowadzało się coraz więcej i w latach 70. pod Lublaną powstało ogromne osiedle. Budowę zakończono chwilę przed rozpadem Jugosławii.

W tym czasie mieszkali tam wyłącznie emigranci z innych republik, więc to miejsce szybko zyskało złą sławę jako siedlisko ludzi na zasiłku, którzy wiecznie imprezują w bałkańskim stylu. Do dziś wiąże się z wieloma stereotypami, choć tak naprawdę nie różni się już za bardzo od innych dzielnic. Część Słoweńców szybko się przekonała, że nikt na Fużynach nie kradnie i nie morduje, część nadal ma w głowach zakodowany stereotyp, że lepiej tam nie jeździć.

W każdym razie dziś wprowadza się tam coraz więcej także słoweńskich małżeństw z dziećmi.

A emigrantom z innych republik dawnej Jugosławii jak się dzisiaj żyje w Słowenii?

Niektórzy twierdzą, że dyskryminacja nadal jest, ale już mniejsza niż w chwili rozpadu i przez kolejnych kilkanaście lat.

W książce cytujesz napis na murze: „Bośniaku, wracaj do swojej Macedonii!”.

Pewnie Słoweńcom by się nie spodobało to, co powiem, ale niektórzy imigranci zwracali uwagę na to, że ta niechęć nie dotyczy tylko ich, ale też osób z Polski czy z innych krajów dawnego bloku wschodniego. Po prostu ludzie z byłej Jugosławii są tam najliczniejszą grupą imigrantów. Słoweńcy dużo lepiej postrzegają ludzi z Zachodu.

Czy dlatego ponad 25 tysięcy osób z byłej Jugosławii zostało w Słowenii w latach 90. wykreślonych z listy obywateli?

Historia izbrisu, czyli tego wykreślenia, to historia wielu niedopowiedzeń. Myślę, że nikt nie umie wyjaśnić, jak do tego doszło i kto dokładnie za to odpowiada.

W latach 90. Słowenia tak bardzo chciała odciąć się od Jugosławii, że wykreślenie części jej obywateli wydało jej się świetnym pomysłem. Podobno władze rozwieszały i publikowały ogłoszenia o tym, że w ciągu pół roku od deklaracji niepodległości osoby z paszportami innych republik i pozwoleniami na pobyt w Słowenii powinny uregulować swój status w urzędzie. Jednak mało kto te ogłoszenia pamięta. Myślę, że ludzie też nie zdawali sobie sprawy, że za nieobecność w urzędzie może ich spotkać coś takiego. W końcu przez tyle lat mieszkali w jednym państwie.

Jakie były losy wykreślonych ludzi?

Niektórym dość szybko udało się jednak to obywatelstwo dostać. Inni też jakoś dali radę, mieli mieszkanie i pracę na czarno. Ciekawe jest to, że nie wszyscy dowiedzieli się, że zostali wykreśleni, bo wyjechali z kraju albo po prostu nie mieli kontaktu z systemem.

Ale były też bardzo smutne scenariusze. Jeden z moich bohaterów bardzo chciał mieć słoweńskie obywatelstwo, ale nie zdążył tego załatwić, bo akurat leżał w szpitalu. A potem okazało się, że został wykreślony. To doprowadziło do rozpadu jego życia, przez kilkanaście lat był w kryzysie bezdomności, mocno podupadł na zdrowiu. Później tylko na chwilę udało mu się wrócić do pracy, zanim trafił na rentę.



• **Słowenia, jezioro Bled z kościołem na wyspie**

FOT. SHUTTERSTOCK

A co na to władze?

Po dziesięciu latach ogłosiły publicznie, że takie wykreślenie miało miejsce. Zaczęto o tym mówić w telewizji i ludzie się zorientowali, że wykreślonych było tak wielu. Wcześniej raczej się o tym nie mówiło, może ktoś po cichu zapytał sąsiada. Ludzie bali się o tym rozmawiać, bo wiedzieli, jakie mogą być konsekwencje – stracą pracę albo zostaną wyrzuceni z mieszkania.

Potem stopniowo przywracano wykreślonym prawa. Długo ciągnął się temat odszkodowań. Ci ludzie przez kilkanaście lat nie pracowali, nie płacili składek na emeryturę.

A za każdy miesiąc wykreślenia dostali tylko 50 euro.

Dopiero w zeszłym roku, czyli po 30 latach od izbrisu, prezydent w imieniu państwa oficjalnie przeprosił ofiary. Choć media raczej tego faktu nie odnotowały, były zajęte agresją Rosji na Ukrainę.

Skąd u Słowenów taki nacjonalizm po rozpadzie Jugosławii?

Słowenia była najbogatszą republiką. Miała sporo gałęzi przemysłu, które generowały dochody, na przykład wielką firmę Gorenje, która produkowała artykuły gospodarstwa domowego. Słowenicy mieli poczucie, że dopłacają do gospodarek innych republik. Za wszelką cenę chcieli się odciąć od Jugosławii, zwrócić się ku Zachodowi. Jej rozpad to była dla nich trampolina do dalszego rozwoju.

Czy w czasach Jugosławii przyjeżdżali tam turyści z całej Europy, tak jak na wybrzeże Chorwacji?

Raczej nie. Słowenia zawsze była celem pojedynczych turystów, a nie wycieczek. Jeździli tu raczej alpinści z plecakami.

Po rozpadzie Jugosławii Słowenicy mieli pomysł, żeby stać się drugą Szwajcarią – turystycznym rajem „po słonecznej stronie Alp”.

Chcieli się oprzeć na turystyce górskiej, czyli na tym, co sami uwielbiają. I chcieli, żeby turyści z innych krajów przyjeżdżali do nich na narty, jak do Szwajcarii. A jednak nadal większość osób, które odwiedzają słoweńskie góry, to Słowenicy.

Kto jest najbardziej rozpoznawalnym na świecie Słowenem?

Dla niektórych to będą słoweńscy skoczkowie narciarscy, chociażby bracia Prevc. A poza tym chyba filozof Slavoj Žižek.

No właśnie. Czołowy światowy pesymista. W książce napisałaś, że Słowenicy są introwertyczni, depresyjni, zdyscyplinowani, pracowici, nieagresywni, pokorni i niezbyt pewni siebie. To brzmi jak przeciwieństwo tego, co się nam kojarzy z Bałkanami.

To są słoweńskie autostereotypy. Napisał o nich psycholog Janek Musek w głośnej książce „Psihologiczny portret Slovencev”. Dopatrywał się korzeni tych stereotypów w historii Słowenii, w „syndromie chłopstwa”. Według niego Słowenicy wciąż czują się podległymi chłopami i nie mają siły przebicia. Wiedzą, że muszą się podporządkować. Ja tego w ogóle nie dostrzegam. Jednak kiedyś na uczelni opowiadał mi koordynatorce osób z wymiany studenckiej, że w Słowenii łatwo jest załatwić wszystkie formalności. Odpowiedziała, że Polacy są narodem panów, a Słowenicy narodem chłopów.

Dlaczego właściwie mowa o „narodzie chłopów”?

Bo długo należał do różnych państw – Włoch, Węgier i monarchii Habsburgów. To nie była jedność. Słowenicy nie podejmowali żadnych działań narodowowyzwoleńczych, bardziej skupiali się na przynależności religijnej niż na własnym państwie. W zasadzie cała świadomość narodowa została stworzona przez poetów i pisarzy, a nie polityków. Skupiała się wokół języka.

Był więc protestancki duchowny Primož Trubar, który wydał pierwszą książkę po słoweńsku – katechizm. To jego się uznaje za ojca słoweńskiego narodu. Potem był Janez Valvasor, który jako pierwszy opisał te tereny i ich historię. Stworzył ogromne dzieło o swojej rodzimej Krainie. Kolejny był poeta France Prešeren, który skupiał się na romantycznej wizji walki o naród.

A współcześnie?

Mam wrażenie, że literatura wciąż trochę zastępuje politykę. Na przykład Drago Jančar dużo pisał o tym, w jakim kierunku Słowenia powinna pójść po wystąpieniu z Jugosławii. Uważał, że powinna zwrócić się w stronę Europy Środkowej, a odciąć się od Bałkanów, bo kulturowo jest jej bliżej do Zachodu.

No właśnie – czy Słowenia to Bałkany? Bo zdania są podzielone...

Rzeczywiście, są osoby, które uważają, że Słowenia to Bałkany. Argumentują, że była częścią Jugosławii. Tak naprawdę to jest najwyższe pogranicze, podobnie jak Rumunia. Słowenia przed czasami Jugosławii była podzielona i podlegała krajom, które nie mają nic wspólnego z Bałkanami. Te w większości były osmańskie.

W języku słoweńskim nie ma przekleństw?

W dużej mierze są to śmieszne określenia typu: „Idź się posolić”. Wiele przekleństw Słowenicy pożyczili z innych języków dawnych republik. Przeklinają na przykład po serbsku.

Jak tam się dzisiaj żyje?

Bardzo dobrze. To drugi najbezpieczniejszy kraj w Europie, zaraz po Norwegii. Nigdy nie czułam się tam zagrożona, nie bałam się nigdzie iść w środku nocy. Nigdy też nie widziałam żadnej sytuacji, która by mnie zaalarmowała. A jeżeli już coś złego się tam wydarzy, to wszyscy bardzo to przeżywają. Każdy atak w parku na dziewczynę jest później szeroko komentowany w mediach w całym kraju.

Jest to też pierwszy kraj postkomunistyczny, w którym zalegalizowano małżeństwa par jedнопłciowych.

Spółczesność jest tolerancyjna, bardzo wrażliwa. Nie ma żadnej nagonki. Prawa osób LGBTQ+ są oczywiste, to w ogóle nie jest temat do dyskusji, chyba że w ramach skrajnie prawicowego, kościelnego środowiska.

Pary jedнопłciowe regularnie występują w reklamach. Jest na przykład reklama radia, w której para mężczyzn leży w łóżku, a pod spodem widnieje podpis: „Szare dni przeganiamy Adele”. Myślę, że w Polsce by to nie przeszło.

Słowenia jest też krajem przyjaznym dla kobiet. Tylko 15 procent Słowenek nie pracuje, są też małe różnice w zarobkach obu płci. Z czego to wynika?

Myślę, że z silnego charakteru Słowenek. One od dawna aktywnie walczą o swoją pozycję. Jednak trzeba też powiedzieć, że w Słowenii od czasów Jugosławii zachowało się wiele prorodzinnych rozwiązań, które zostały dostosowane do współczesności. Państwo gwarantuje ciągłość opieki nad dziećmi, żeby nie było momentu, kiedy rodzice nie są już na urlopie, a dziecko nie chodzi do żłobka czy przedszkola i trzeba samemu znaleźć mu opiekę albo za nią zapłacić. Ciągłość tej opieki ułatwia kobietom podjęcie pracy.

Słowenia ma prezydentkę Natašę Pirc Musar, a do niedawna na czele sił zbrojnych też stała kobieta – generalica Alenka Ermenc.

Wydaje mi się, że oba te fakty większe zdziwienie wzbudziły poza Słowenią niż w niej. Nataša Pirc Musar była niezależną kandydatką, a Słowenia zagłosowała na nią, ponieważ po okresie konserwatywnej polityki nie chciała już iść w tym kierunku.

Wcześniej rządził „słoweński Trump”. Skąd to przezwisko?

Janez Janša to były komunista, co nie jest powszechnie znanym faktem o nim. Jeszcze w latach 80. został jednak wyrzucony z młodzieżówki. Pod koniec czasów Jugosławii mocno krytykował w prasie armię, został oskarżony o ujawnianie wojskowych dokumentów.

Początkowo był więc postrzegany raczej pozytywnie, w kontekście walki z reżimem. Premierem był w sumie przez trzy kadencje, ale pod koniec ostatniej, w latach 2020-22, został wręcz zniechęcony przez niektórych Słowenów. Zraził do siebie nawet tych, którzy światopoglądowo byli mu bliscy. Chciał wprowadzać cenzurę w mediach publicznych. Wymyślił nawet ustawę, która nie pozwalałaby negatywnie wyrażać się o władzy. Starał się ograniczać protesty, usprawiedliwiając to pandemią. Jego politycy dopuścili się korupcji przy zakupie środków medycznych. Niezadowolone Słowenów szybko rosło i uwidoczniło się w kolejnych wyborach.

Gdzie Słowenicy jeżdżą na wakacje?

Popularne jest chorwackie wybrzeże. Słowenicy kochają też wszelki sport – od biegania czy rowerów, przez paralotnie, skakanie ze spadochronem, po spływy kajakami w rzekach czy potokach górskich. To aktywności, które nam wydają się ekstremalne, a im niekoniecznie.

Ważne są dla nich spotkania przy jedzeniu i winie. Piją wino chętnie i dużo.

A ty jedziesz na wakacje do Słowenii?

W tym roku nie. Przez ostatnie lata spędziłam tam dużo czasu, pracując nad książką. ●

Książka Zuzanny Cichockiej „Słowenia. Mały kraj wielkich odległości” ukaże się 12 lipca w Wydawnictwie Ponażskim.



Mikołaj Grynberg na polsko-białoruskiej granicy

Adam i Ewa, I STRAŻNIK

Zostawialiśmy zdeorientowane dzieci w lesie.
Wiesz, jakie to straszne uczucie?

EWA I ADAM

Spotykamy się w pobliżu ich gospodarstwa. Zapraszają mnie na łąkę, na której stoi pięknie nakryty stół. Jest miło i ładnie, a przy okazji z dala od osób, które kręcą się w pobliżu obejścia.

A.: Chcę, żebyś pamiętał, że my tu mieszkamy dlatego, że nie lubimy ludzi. To było idealne miejsce, by trzymać się od nich z daleka.

Tym bardziej dziękuję, że zgodziliście się ze mną spotkać.

A.: Mówię ci to dlatego, żebyś zrozumiał, czym to dla nas jest. Ale nie byliśmy w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. Nie mogliśmy nie jechać w nocy po ludzi, którzy siedzieli w lesie przy ujemnej temperaturze, wiedząc, że jak nie zdążymy przed Strażą Graniczną, to zapakują ich na ciężarówkę, a potem wyrzucą za druty. Wiesz, Polska jest krajem człowieczeństwa ze sztandarów. Płody ratujemy, ale dwudziestosiedmioosobowej grupy z mnóstwem dzieci już nie. Strasznie trudne to jest.

Byłem wtedy w lesie pierwszy raz z Grupą Granica. Tamta grupa uchodźców już sześć czy siedem nocy spędziła w temperaturze, która nie przekraczała zera stopni. Dostałem pod opiekę trzyletnie dziecko z wysoką gorączką. Nawet nie wiem, jak ci to opowiedzieć, rozumiesz?

Nie potrzebuję do życia innych ludzi. Kiedyś pracowałem na Mazurach, ale tam było piekło, tłumy turystów. Więć uciekłem na Podlasie, bo tu ludzi mało. Sielanka po prostu.

Kiedy się skończyła?

A.: W lipcu 2021 zaczynają się w lesie pojawiać ludzie, ale o tym wiemy tylko z mediów.

Do was nie docierają?

E.: Na początku nie.

A.: Być może się tu gdzieś kręcą, ale wtedy jeszcze ich nie spotykamy. Albo nie zauważamy.

Kiedy to się zmieniło?

A.: W sierpniu, w trakcie akcji służb w Usnarzu. Przedtem miałem takie podejście, że idą, to idą. Jak się gdzieś tu koło nas pojawiają, to zaprosimy do domu, damy herbatę, nakarmimy, będą się mogli wykapać. Przyjmujemy ich, a potem zadzwonimy po Straż Graniczną.

Straż Graniczną?

A.: Dotychczas tak robiliśmy. Wszyscy byliśmy zadowoleni, że ktoś tu pilnuje. Jak coś się działo, to po nich dzwoniłem, taki miałem pierwszy obywatelski odruch. Teraz też myślałem: „Przyjadą, wezmą ich do ośrodków, przepytają, sprawdzą, kim są, ale zajmą się nimi jak ludźmi”.

Byliście w Usnarzu?

A.: Nie musieliśmy, widzieliśmy w mediach, to nam wystarczyło. Zresztą we wrześniu, w październiku, po Usnarzu, oni już byli wszędzie.

Oni, czyli uchodźcy?

A.: Nie, ludzie. Normalni ludzie, w każdej wiosce na Podlasiu. Jak ktoś mi powie, że ich nie widział, to mu nie uwierzę, bo byli wszędzie. Wszędzie!

SG ich wylapywała, na ciężarówce – i na Białorusi. Wtedy podjęliśmy decyzję, że więcej nie zadzwonimy po straż.

I czekaliście, aż przyjdą do was uchodźcy?

E.: Ludzie. Wtedy zaczęłam chodzić nocami z termowizją po lesie.

Kupiliście profesjonalny sprzęt?

A.: Mieliliśmy go już wcześniej, używaliśmy do podglądania zwierząt.

E.: Wszyscy pytali, czy się nie boję. Nie bałam się. Znaczą, bałam, ale nie bardzo. Ustaliliśmy z Adamem hasło, że jak zadzwonię do niego i je wypowiem, to on bierze samochód i przyjeżdża.

Dlaczego potrzebne było hasło?

E.: Nie wiedzieliśmy, czy nie jesteśmy podsłuchiwani przez służby.

Co robiłaś, gdy spotykałaś ludzi?

E.: Zawsze miałam przy sobie wodę i batoniki, kupowaliśmy je z moją siostrą i rodzicami. Ciężko nam o tym rozmawiać. Opowiadamy i zaczynamy płakać. Ze złości, z bezradności.

A.: Nie myśl, że my jesteśmy jacyś wyjątkowi, po prostu byliśmy tutaj i wiedzieliśmy, co się w tym lesie działo. Dotychczas nie zajmowaliśmy się pomaganiem, ludzie nie za bardzo nas interesowali.

Pamiętacie pierwszych ludzi, których znaleźliście w lesie?

E.: Akurat byli u nas znajomi. Przyjechali, by chodzić z nami na patrole do lasu. W pewnym momencie podchodzi do nas Adam i mówi: „Nie wpadajcie w panikę, mamy ludzi w stodole”.

A.: Jedne drzwi naszej stodoły wychodzą na las, a drugie na podwórko. Były otwarte na przestrzał. Wchodzę, a tam stoi dwóch dwudziestoparoletnich mężczyzn i ładuje telefony z gniazdka. Mnie zatkało, oni się przestraszyli. „Żeby tylko nie spanikowali” – myślę. Muszę się zachowywać przyjaźnie. Więc uśmiecham na twarz i mówię: „welcome”, a oni, przerażeni, tylko: „no police, no police, no border, please”, i składają ręce w błagalnym geście. Pytam, czy potrzebują water, food. Oni, że nie, że wodę mają stamtąd, i pokazują mi pastwisko, gdzie w starej wannie stoi woda dla zwierząt. Więc mówię im, żeby poczekali. Chcę iść po pitną, ale oni, że nie potrzebują. Wracam z wodą, nie uciekli, czyli zaufali mi. Stawiam kilka butelek na ziemi. Chociaż mówili, że nie potrzebują, pakują do plecaków. Zrozumiałem, że mówią „nie” być może z uprzejmości.

E.: Daliśmy im jedzenie i powerbanki na drogę, na miejscu gorącą zupę.

A.: Kiedy donosiłem rzeczy, to oni za każdym razem: „no police, please, no border”. Mówię, żeby się nie bali, że nikogo nie wezwiemy. Zostawiłem ich z tą zupą, żeby spokojnie zjedli. Gdy wróciłem, zupa była niedojedzona, a po nich ani śladu. Od pierwszego spotkania minęło piętnaście-dwadzieścia minut, pewnie uznali, że robi się niebezpiecznie, że tyle czasu wystarczy, by przyjechały służby.

Jak się wtedy czuliście?

A.: Rozumiałem, że mają prawo się mnie bać, nie wiedzieli, że ja ich nie wydam.

To „ja ich nie wydam” brzmi jak z innej epoki.

A.: Ale tu jest właśnie taka epoka. Podajesz komuś butelkę wody i się rozglądasz, czy nikt nie widzi.

E.: Mieliliśmy znajomych, którzy pracują w służbach. Już nie macie?

E.: Nie daliśmy rady tego słuchać.

Czego?

E.: Tego, co myślą o Usnarzu, o granicy białoruskiej.

A co myślisz?

E.: Mówią, że do takich ludzi trzeba strzelać. Niby żartem, ale dodają, że to rozwiązałoby sprawę, że wreszcie byłby święty spokój. I tak powiedziała osoba, którą znaleźliśmy od wielu lat.

A.: Rozmawiałem z nią. Wiesz, ja dawno odszedłem od Kościoła, a ona ma na wierzchu wywalony krzyżyk na złotym łańcuszku i mówi o zabijaniu dla świętego spokoju.

Ja pochodzę z ziemi łomżyńskiej i jak ktoś mi mówi, że tego wszystkiego nie było, że działo się inaczej, niż opowiadają, to wiem, że nie ma racji.

Mówisz o Jedwabnem?

A.: O Jedwabnem i wielu innych okolicznych miejscowościach. Tam do dzisiaj nic się nie zmieniło. Wiem, jakie jest podejście do spraw żydowskich w mojej rodzinie. Mówię ci, że przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło. Wystarczy jeden idiota, który podłoży podpałkę, a za nim ruszą następni i tamte historie się powtórzą.

Ich zdaniem młody facet nie ma prawa uciekać przed nieszczęściami, które dzieją się w jego kraju. Nie dają mu prawa do godnego życia. Dziecko, kobieta, ewentualnie starzec mogą uciekać, ale facet powinien siedzieć w Syrii i mają go tam Ruscy zatłuc.

E.: I dlatego, jeszcze zanim zaczęliśmy współpracować z Grupą Granica, działaliśmy z wolontariuszami, którzy do nas przyjeżdżali. Zrobiliśmy mapkę okolicy, podzielił się na sektory i patrolowaliśmy je w dwu-, trzyosobowych grupkach. Sprawdzaliśmy, gdzie są pozostawione rzeczy, gdzie były tymczasowe obozowiska. Wieszaliśmy na drzewach pakiety z batonikami, wodą, konserwami, czasami ciepłymi skarpetami i czapkami. Były też pakiety higieniczne dla kobiet, ale i takie z podpałką – na tyle wysoko, żeby zwierzęta nie rozwekły. Wiemy, że część zabierały służby, część kradli ludzie, ale część na pewno trafiła do potrzebujących. Szlak, którym wędrowali, wyznaczały opuszczone obozowiska, gdzie znajdowaliśmy resztki z naszych paczek.

Jak wyglądają opuszczone obozowiska?

E.: Pokażę ci, co tam znajdujemy, bo chodzimy je sprzątać. Zobacz: butelka ze smoczkami, kredki do oczu, zabawkowy samochodzik, pomadka do ust, pampersy, ubranka dla dzieci.

Porzucili te wszystkie rzeczy?

E.: Myślę, że to były wywózki. Straż Graniczna ich pewnie w nocy znalazła i zwinęła, nie przejmując się tym, czy coś zostawia, czy nie.

A.: Potrafią wyskoczyć z bronią, krzycząc: „gleba, gleba!” i różne wulgaryzmy. Doświadczyłem tego. Mimo że jestem Polakiem, mówię po polsku, mnie też obrzucili wyzwiskami.

E.: Zbieramy rzeczy z takich opuszczonych obozowisk. Jeśli są ubrania, przeszukujemy kieszenie,

MIKOŁAJ
GRYNBERG



bo tam mogą być dokumenty. Od jesieni 2021 roku zdajemy już sobie sprawę, że dzięki tym znaleziskom można czasami pomóc rodzinom namierzyć ostatnie miejsca pobytu ich bliskich.

W lipcu 2022 roku było już sto czterdzieści zaginionych osób.

Co robicie z tymi rzeczami?

A.: Wysyłamy o nich wiadomości na strony, które zajmują się osobami zaginionymi.

Macie kontakt z ludźmi, którym pomogliście?

A.: Nie wymieniamy się kontaktami. Od początku wychodziliśmy z założenia, że jesteśmy od pomocy. Nie chcemy wiedzieć, jaki jest powód migracji i ile razy byli pushbackowani.

Dlaczego?

A.: Tu nic nie jest czarno-białe. Ci ludzie mogą mówić różne rzeczy, a ja nie chcę ich oceniać. Gdybym był Syryjczykiem czy Jemeńczykiem, gdybym szedł do bezpieczniejszego życia, gdybym szedł ratować swoją rodzinę, opowiadałbym ci każdą historię, która by mi pomogła w tej misji. Dla mnie to są ludzie w potrzebie, i tyle. Chodzi o to, żeby mieli co jeść i pić i żeby nie umarli w moim lesie. Cała reszta jest w ich rękach. Oni podjęli te decyzje i są za nie odpowiedzialni.

Wasze codzienne życie jest teraz związane z tym, co się dzieje w lesie?

E.: Jestem na stałe przyklejona do telefonu. Adamowi zdarza się go czasami gdzieś odłożyć, mnie nie, noszę go ze sobą wszędzie.

Co się dzieje, gdy przychodzi sygnał, że ktoś potrzebuje pomocy?

E.: Sprawdzamy, gdzie, ile osób, jakie rozmiary butów i ubrań. Pakujemy i jedziemy. Na początku sami organizowaliśmy zbiórki odzieży, ale tak się nie da na dłuższą metę. Liczba osób potrzebujących przerasta możliwości kręgu przyjaciół i znajomych. Teraz korzystamy z zasobów Grupy Granica, która organizuje niezbędne rzeczy.

Więc przychodzi informacja i...?

E.: Wiadomo, gdzie są i ile osób. Czego im potrzeba. Potem albo ktoś po nas przyjeżdża, albo spotykamy się w lesie. Nikt nie podejźdza samochodem tak blisko, jak się da, bo wiadomo, jaki będzie finał.

Jaki?

A.: Jeśli służby zobaczą nasz zaparkowany samochód, będą czekać przy nim, aż im wpadniemy prosto w łapy. Nie zdarzyło się, by złapali nas razem z uchodźcami, ale wiem, że dochodzi do takich sytuacji.

I co się wtedy dzieje?

E.: To zależy od humoru strażników. Może się nic nie wydarzyć. Mogą dać mandat. Ale mogą też skierować sprawę do sądu i oskarżyć o handel ludźmi. A to już jest poważna sprawa.

Co robią z uchodźcami?

A.: Wywożą za „żyłtki”.

Samochody zostawiamy czasami nawet kilka kilometrów od miejsca, do którego idziemy. Niekiedy u zaprzyjaźnionych gospodarzy, bo wiemy, że nie doniosą służbom. Zostawienie samochodu w lesie to też ryzyko. Zdarza się, że wracamy i opony są przebite nożem. Służby znają nasze samochody

i widocznie, jak nie mogą nic innego zrobić, to ze złości tną opony.

Tak czy inaczej zostawiamy samochody, bierzemy dwudziesto-, trzydziestokilogramowe plecaki i dalej na piechotę.

Znajdujecie ludzi, którzy na was czekają, i...?

A.: Docieramy do grupy i działamy – każdy ma swoje zadanie. Ty załatwiasz kwestie medyczne, ty – ciepłe posiłki i herbatę, ty – dokumenty gwarantujące tym ludziom ochronę przez Europejski Trybunał Praw Człowieka.

Pomagacie im wypełniać dokumenty, by mogli uzyskać ochronę prawną?

A.: My akurat nigdy tego nie robiliśmy, ale są osoby, które dobrze się na tym znają. Wypełniają wszystkie potrzebne papiery.

Dajecie im wszystko, czego potrzebują?

A.: Dajemy im namiastkę tego, czego potrzebują.

W końcu przychodzi moment, że odchodzicie i zostawiacie ich w lesie?

E.: Na mojej pierwszej leśnej akcji znaleźliśmy dwóch chłopaków, braci, młodszy miał szesnaście lat. Zrobiliśmy, co się dało, spakowaliśmy plecaki i zaczęliśmy odchodzić, a ja cały czas myślałam: „Zostawiasz w lesie dziecko”. To jest masakra.

Cały czas ich pamiętam, te ich czerwone twarze, bo oświetlone naszymi czołówkami, które świecą na czerwono, żeby było trudniej nas zobaczyć z odległości. Zostawialiśmy zdezorientowane dzieci w lesie. Wiesz, jakie to straszne uczucie?

A.: To jak z tym trzyletnim dzieckiem, o którym ci opowiadałem. Dziewczynka z wysoką gorączką. Pytamy rodziców, czy wezwać karetkę, a oni: „no, no, pushback, please, no pushback”, i składają ręce jak do modlitwy. Ten błagalny gest zobaczymy potem wiele razy.

Temperatura powietrza to zero stopni i wiesz, że nie możesz zdecydować za tych rodziców. To ich dziecko, ich życie. Nie chcą wrócić na Białoruś, klamka zapadła. Nie chcą znowu trafić tam, gdzie są kradzieże, bicie i gwałty. Nie chcą trafić do Bruzgu czy innego obozu, który stworzyli Białorusini.

Zostawiamy ich i mamy nadzieję, że tej albo następnej nocy przyjedzie po nich „taksówka”. Starasz się sobie wytłumaczyć, że lepsza jedna czy dwie noce w śpiworze, który im przywoziłeś, a potem wolność. I odchodzisz, ale nie możesz przestać myśleć, że zostawiasz ich w lesie. Wiesz, że jeśli nikt po nich nie przyjedzie, to mogą tam zamarać.

„Taksówka”, o której mówisz, to przewoźnik?

A.: Tak, opłaceni przez ich rodziny przewoźnicy. Pewnie związani z przestępczymi organizacjami, robią to prawdopodobnie za grube pieniądze.

Przewoźnicy, czyli przemytnicy?

A.: Pewnie jedno i drugie.

Spotykacie ich w lesie?

A.: Unikamy ich, nie chcemy mieć z nimi do czynienia. To są mafijne struktury.

Tu, na granicy, nie ma prawa. Służby działają poza prawem, co już wielokrotnie potwierdziły wyroki sądów. A gdy bezprawie jest państwowe, robi się coraz bardziej szaro i mroczno. „Taksówkarzom”

• **Grupa uchodźców z dziećmi pod płótnem na granicy polsko-białoruskiej. Proszą polskiego strażnika o azyl i ochronę międzynarodową. Białowieża, 28 maja 2023.**

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

udaje się wywozić tych ludzi z Podlasia i z Polski, co wiemy chociażby ze statystyk o migrantach publikowanych w Niemczech czy Belgii.

Ciekawe, jak im się to udaje. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, jestem zatrzymywany kilka razy dziennie przez policję albo SG.

A.: Myślę, że jest wiele scenariuszy.

E.: Na początku podobno działała tu nawet organizacja złożona z kiboli skłóconych ze sobą klubów piłkarskich: Ruchu Chorzów, Piasta Gliwice i Górnika Zabrze. Wywozili ludzi z lasu. Założyli taką właśnie firmę „taksówkową”.

Pomagali?

E.: W żadnym przypadku nie określiłabym tego słowem „pomagali”. Oni zarabiali olbrzymie pieniądze. Myśleli, że nauczyli się robić biznes. Podobno wszystkich złapano i posadzono.

A wy czego się nauczyliście przez ostatnie miesiące?

A.: Partyzantki.

E.: Jak unikać służb. Potrafimy się poruszać po ciemku w lesie, i to bez używania latarek.

A jak sobie dajecie radę ze służbami?

E.: Wiesz, co zauważyliśmy? Że im bardziej się na nich rzucamy, im na mniej im pozwalamy, tym szybciej odpuszczają. Ale nękają nas. Bez przerwy zatrzymują. Wyjeżdżamy z domu – kontrola, powrót do domu – kontrola, po drodze – kontrola. Kilka razy dziennie, to jest uciążliwe i denerwujące. Zatrzymują samochód, podchodzą z dwóch stron, mają długą broń, i ciągle te same pytania: „Skąd jedziecie? Dokąd jedziecie?”

A.: Gdyby ludność Podlasia od początku zadbała o swoje prawa, żylibyśmy tu w zupełnie innym świecie. Ludzie pozwolili, żeby nam te służby wlażyły na głowę, żeby robiły z nami, co chcą. Przeszukanie? Oczywiście, panie władzo. Tu nie można jechać! Tak jest, panie władzo.

Kiedy to się skończy?

E.: Nigdy.

A.: Też tak myślę.

To znaczy, że wasze życie będzie już zawsze tak wyglądało?

A.: Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądało nasze życie, ale powiem ci szczerze, że psychicznie jestem już bardzo zmęczony. Jak przychodzi „pinezka” i widzę, że nie zebrała się wystarczająca liczba ludzi, to jadę, ale mam coraz większy problem z chodzeniem do lasu. Nie dają już rady. Od kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie, zniknęło stąd dużo osób, które dotychczas były bardzo aktywne.

E.: Pojechały pomagać Ukraincom. Tam potrzeba wielu ludzi, a do tego tamta pomoc nie jest karana. Jak widzę w telewizji strażnika, który pomaga Ukraincom na granicy – i walizkę poniesie, i dziecko weźmie na ręce – to mnie taki wkurw strzela, że nie wiemy, co mam ze sobą zrobić. A u nas taki strażnik to bierze kobietę z dzieckiem i wyrzuca za „żyłtki”. Czym się różnią tamte dzieci od tych z naszej granicy?

Czym?

E.: Mają zły kolor skóry, tym się różnią!

A.: Czasem myślę, że robimy błąd, nie utrzymując kontaktów z tymi osobami, którym pomogliśmy.



Fragment książki **Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce”**. Premiera 12 lipca, Wydawnictwo Agora. Książka dostępna w przedsprzedaży na Kulturalnysklep.pl i jako e-book na Publio.pl

Podobno niektórzy to robią i to być może jest bardzo zdrowe podejście. Zapewne w najbliższym czasie zmiany klimatyczne, wojna, prześladowania albo jakieś inne czynniki zmuszą nas do tego, by spieszyć z tego kraju. A wtedy oni by nam pomogli przejść przez mur albo przemknąć przez las. Bo może tam też, tak jak nasze służby, ich służby będą nas witać z bronią i drutami i będą nas czekać pushbacki.

E.: Większość mieszkańców tu, na granicy, jest wdzięczna SG i wojsku, że się nimi opiekują.

Tak już będzie zawsze?

A.: Nie zdziwiłbym się, gdyby za pięćdziesiąt-siedemdziesiąt lat jakiś katolicki narodowiec chciał stawiać pomniki Polakom, którzy tak jak podczas Holokaustu ratowali tu ludzi. Wiem, że tego nie można porównywać, ale chodzi mi o to, że narracja się zmieni i rozkwitną opowieści o tym, jak ludność Podlasia masowo ukrywała ludzi i pomagała im bezpiecznie przedostać się do swoich rodzin na Zachodzie. Zobaczysz, będą chcieli w Michałowie stawiać pomnik Polki ratującej leśne dzieci.

E.: Tych żydowskich analogii jest więcej. Nic na to nie poradzę, ale kiedy przychodzimy do ludzi w lesie i słyszę, jak kobiety uciskają dzieci, to myślę o Żydówkach, które ukrywały się ze swoimi dziećmi. „Cicho, cicho...” – to jest straszne.

A.: A wystarczy wyjechać do Białegostoku i już nikt nic nie rozumie. A Warszawa, Łódź czy gdzieś dalej? Tam nikt nie wierzy, że u nas takie rzeczy się dzieją. Oni nie rozumieją, o czym my tu rozmawiamy. Czasami słuchają w radiu albo telewizji, że zatrzymano ileś tam osób w trakcie przekraczania granicy. Co za bzdura! Ich nie zatrzymano w trakcie przekraczania granicy, ich zatrzymano na terenie Rzeczypospolitej. Granica to nie jest pas kilkumetrowy kilometrów, granica to jest kreska na piachu. Ci ludzie są w naszym kraju i mamy w związku z tym obowiązek zachowywać się w stosunku do nich zgodnie z prawem, nie zapominając o ich godności.

E.: Służby robią tak, jak im każą albo pozwalają przełożyć. Z godnością to nie ma wiele wspólnego. Kiedyś zostałam zatrzymana z koleżanką w lesie. Nie szłyśmy do żadnego zgłoszenia, ale trafiłyśmy na opuszczone obozowisko. Miałymy pełne kieszenie proteinowych batoników, bo teraz już ciągle je przy sobie noszę. To był patrol mieszały, SG i wojsko. „Panie nie mają prawa tu być, jesteście zatrzymane, ani kroku dalej, pójdzicie siedzieć”.

I co się wtedy robi? Zostaliście tam?

E.: Nie posłuchałyśmy się ich i przeszłyśmy na drogę, a oni dzwoniли do swoich szefów i straszili, że zakują nas w kajdanki i że pójdziemy siedzieć. Na szczęście tuż przed zatrzymaniem zadzwoniłam do Adama i powiedziałam, gdzie jesteście. Oni walczyli ze swoim superdrogim sprzętem łącznościowym, który tracił zasięg, a w końcu się rozładował. Byłyśmy już całkiem niezłe przestraszone. Doprowadzili nas do takiego stanu, że zaczęłyśmy myśleć, że może rzeczywicie prawo się zmieniło, a my nic o tym nie wiemy. Przyjechał Adam i zaczęła się awantura.

A.: Stoimy na normalnej publicznej drodze między dwiema wioskami. Podchodzi do mnie jeden z tych facetów i mówi, że wie, po co ja tu przyjechałam, i że zaraz pójde siedzieć. Pytam, kim jest, i on się przedstawia, że jest z posterunku w Michałowie. Patrzę na niego i wiem, że raczej nie. Pewnie przyjechał z Białegostoku, jakiś narwaniec zza biurka. Próbujemy rozmawiać, ale on ciągle straszy, aż nagle pyta, czy mam pozwolenie na przewóz osób, bo przecież przyjechałam zabrać te kobiety. Mówię: „Weź pan zadzwoni do straży w Michałowie, masz pan moje imię i nazwisko, masz pan numer samochodu, powiedz pan, żeś mnie pan zatrzymał. Oni panu powiedzą, kto ja jestem, tylko pan od razu powiedz, żeby się ode mnie odwalili raz na zawsze. Przez poprzednie lata współpracowałam, bo jestem państwowcem, bo jestem obywatelką. Jak się coś działo, przyjeżdżaliście do mnie, była



Wyrzucal pan? Tak.

Dzieci też? Też.

Zimą też? Też.

kawa, herbata, rozmawialiśmy, i powiedz pan tym w Michałowie, że niech zapomną, koniec, skończyły się kontakty, nie mamy żadnych relacji”. Skontaktował się z nimi, wrócił do mnie, oddał dowód osobisty i grzecznie powiedział do widzenia.

E.: Na koniec nie powiedział „przepraszam”, ale użył takiego stwierdzenia, że faktycznie przeszedł, za dużo sobie pozwolił, że za batoniki w kieszeni nie idzie się do więzienia.

Tu wszystko stanęło na głowie. Ostatnio zadzwoniła do mnie koleżanka ze szkoły. Dawno nie miałyśmy kontaktu, więc się ucieszyłam. Spotkałyśmy się na kawę i gadamy, co u której słyhać. Mówię, że bardzo się zaangażowałam w pomoc na białoruskiej granicy, a ona, że to super, bo jej mąż też tam pracuje, w służbach granicznych. I dawaj, bierz telefon i do niego dzwoni, zaprasza, żeby do nas dołączył. I rzeczywiście po chwili przychodzi, pamiętałam go z dawnych czasów, kiedy miał długie włosy. Ogolony, koszułka z wielkim napisem „Polska”. Strasznie się pożarliśmy, myślałam, że nas z tej restauracji wyrzucą. Jego narracja to: żli, mordercy, terroryści, wysadzą nas wszystkich w powietrze. Jego żona bez chwili zawahania podziela jego stanowisko. Rozchodzimy się, podejmując decyzję, że urywam z nią kontakt. Po tygodniu do mnie dzwoni, zapłakana, i opowiada, że jej ciocia jest zakonnicą i pracuje na Białorusi. Pyta, czy możemy pomóc, i cały czas płacze. Nie mogę ogarnąć, co ona do mnie mówi, w końcu powoli zaczyna do mnie docierać. Ta zakonnica ma znajomych, którzy uciekli z Kuby i przez Białorusi będą się dostawać do Polski, i czy im pomożemy. Żeby zrozumieć sytuację, pytam, gdzie oni teraz są. Odpowiada, że od kilku dni siedzą w tym pasie śmierci między Polską a Białorusią. Nie mają ani jedzenia, ani picia. Ustaliliśmy, że jak tylko przejdą, to im pomożemy, dostarczając jedzenie i ciepłe ubrania, ogarniemy interims, czyli dokumenty chroniące przed wywózką, i całą resztę.

Adam, jak tylko usłyszał tę historię, to wymyślił, żeby moja koleżanka zadzwoniła do wszystkich lokalnych księży, żeby przechowali tę grupę przez trzy dni, bo tyle trwa wyrobienie interims. Z takimi referencjami przecież żaden ksiądz nie odmówi, myślimy sobie. Koleżanka zadzwoniła i już się bierze do dzwonienia. Po półgodzinie znów telefon od niej. Zapłakana mówi, że nie może, że mąż jej powiedział, że to jest nielegalne. W tle słyszę, jak ją wyzywa.

A.: Koniec tematu.

Wiecie, co się stało z tą grupą?

A.: Wiemy, że przeszli, zostali zaaprowizowani i poszli dalej.

E.: A ta moja koleżanka i jej mąż to bardzo religijni ludzie, jeżdżą na pielgrzymki do Częstochowy. Odruch miała dobry, ale jednak postanowiła nie pomóc.

Ciekawe, co się dzieje w domach strażników granicznych.

E.: Nie umiem sobie tego wyobrazić. W pracy wyrzucają za druty dzieci albo kobiety, o których wiedzają, że za chwilę na Białorusi zostaną zgwałcone. I co? Wracają do domu, biorą swoje dziecko na kolana i przytulają żonę?! Tak jakby nic się nie stało? Na pewno wiadomo, że tam, gdzie jest zakwaterowane wojsko, sprzedaż alkoholu bardzo wzrosła.

A.: To nieprawda, że wyciągnęliśmy wnioski, że nigdy więcej wojny, prześladowań,

pogromów. Guzik prawda, wszystko jest możliwe, wszystko może wrócić, możemy znowu robić to samo. A może nawet będziemy jeszcze gorsi.

STRAŻNIK

Dużo czasu zajęło mi namówienie na rozmowę kogokolwiek ze Straży Granicznej. Korespondowałem ze Strażnikiem kilka tygodni, zanim zdecydował się na spotkanie. Wysłał mi maile z adresu, który założył specjalnie, by się ze mną kontaktować. Ustaliliśmy dzień spotkania. Godzinę podałem po południu, a „pinezkę” przysłał jeszcze później. Przyjechałem samochodem do lasu pod wskazane miejsce. Zaparkowałem na brzegu małej dróżki, zgasiłem światła i dopiero wtedy Strażnik wyszedł zza drzew. Rozmowę odbyliśmy w samochodzie. By być pewnym, że osoba, z którą rozmawiałem, naprawdę jest strażnikiem, pojechałem następnego dnia w okolicę strażnicy, która jest jego macierzystą placówką. Wiedziałem, że od rana ma mieć dyżur. Zobaczyłem go wsiadającego do służbowego samochodu, był w mundurze SG.

Pan myśli, że moja praca jest prosta, łatwa i przyjemna?

Myślę, że jest wręcz odwrotnie.

A co by pan zrobił na moim miejscu?

Najpierw porozmawiajmy o tym, co pan robi w tej pracy.

Pracuję w służbie mundurowej, więc wykonuję rozkazy moich dowódców.

Zgadza się pan z tymi rozkazami?

Rozkaz to rozkaz. Tak to u nas działa, my się nad tym nie zastanawiamy.

To zapytam wprost: brał pan udział w pushbackach?

Moja praca polega na strzeżeniu granic Rzeczypospolitej.

Wyrzucał pan ludzi na Białorusi?

Dbamy, by nikt nieproszony nie wszedł na nasze terytorium.

Mówi pan jak rzecznik SG.

A co by pan zrobił na moim miejscu?

Jakbym się zgodził rozmawiać, to-bym rozmawiał.

To nie jest takie proste, jak się panu wydaje. Mnie już niewiele brakuje do wysługi lat, a kredyt sam się nie spłaci. Ma pan kredyt?

Nie mam.

No widzi pan, gdyby pan miał kredyt, toby mnie pan zrozumiał.

Wyrzucał pan ludzi za druty?

My mówimy: na druty.

Wyrzucał pan?

Tak.

Dzieci też?

Też.

Zimą też?

Też.

Dlaczego pan się zgodził ze mną rozmawiać?

Bo chcę, żeby pan zrozumiał, że my mamy swoje powody, żeby pracować w SG. Myśli pan, że to jest przyjemna praca? Gdybym miał jeszcze raz wybierać i wiedział, co nam przyjdzie robić, tobym się nie zdecydował. Ja mam niepracującą żonę, ten kredyt, dzieci, a pan myśli, że to wszystko jest takie proste.

Jak się wyrzuca ludzi na druty? Niech mi pan to opowie po kolei.

Nie wie pan? Jak się wyrzuca, normalnie się wyrzuca. Wie się do granicy i każe się przejść za druty.

I przechodzą?

Jedni przechodzą, inni nie przechodzą.

I co się wtedy robi?

Pan myśli, że ja chcę o tym rozmawiać?

Wstydzisz się pan o tym opowiadać?

Był pan w wojsku?

Nie.

No to mnie pan nie zrozumie.

Zdarzyło się panu przerzucić dziecko przez concertinę?

Nie trzeba przerzucać, wystarczy przeciąć druty.

To dlaczego ludzie mówią, że przerzucaćcie przez druty?

Ludzie różne rzeczy mówią. Wie pan, że ja nie muszę z panem rozmawiać?

Przerzucał pan?

Kurwa, człowieku! Przerzucałem i co, zadowolony pan jest teraz?

Chciałbym zrozumieć, jak to się dzieje, że mąż, ojciec dzieciom przerzuca cudze dzieci przez druty. Gdyby pan nie miał kredytu albo gdyby pana żona miała pracę, to nie robiliby pan tego?

Brakuje mi trzech lat do wysługi lat, rozumie pan?

Czyli jeśli pana dowódca będzie dalej wydawał takie rozkazy, to będzie pan przerzucał dzieci przez druty jeszcze trzy lata?

Teraz już nie przerzucamy, bo jest mur.

Po robocie wraca pan do domu i czyta swoim dzieciom bajki na dobranoc?

A gdybym ja chciał napisać o panu książkę, to niczego by się pan nie wstydzil?

Kilku rzeczy bym się wstydzil.

Może każdy ma takie coś, czego się wstydzil. **Pan ma na sumieniu życie i zdrowie ludzi, bo takie są konsekwencje pana pracy. Nie chcę wierzyć, że kredyt wystarczy, by to robić. Czyta pan bajki swoim dzieciom?**

Żona czyta.

Wstydzisz się pan swojej pracy?

Pan uważa, że powinienem się wstydzic, ale gdyby nie tacy jak ja, to nie byłby pan w bezpiecznym kraju.

Wierzy pan, że wyrzucanie zimą matek z dziećmi za druty powoduje, że żyjemy w bezpieczniejszym państwie?

Pan nie rozumie, jak to działa.

Jak?

Większość z nich to są muzułmanie, chciałby pan mieszkać w muzułmańskim kraju?

Wie pan, jak by to wyglądało za kilkanaście lat? Już nie byłibyśmy u siebie.

I dlatego pan rzuca dziećmi?

Żałuję, że się zgodziłem z panem spotkać.

Pan wie swoje, ja wiem swoje. Niech pan zrozumie, oni nie są tu mile widziani.

Zresztą większość i tak nie chce tu zostać, nie podoba się im nasz kraj.

Dziwi się pan?

To po co to się pchają?

Bo uciekają przed wojnami, głodem i przemocą.

Nie chcemy ich tu.

Bo jesteście rasistami.

Bo jesteśmy u siebie. Chyba mamy jeszcze prawo decydować o tym, kto mieszka w naszym kraju.

Rozmawia pan z dziećmi o swojej pracy?

Nie.

A z żoną?

Nie.

To z kim oprócz mnie pan rozmawia?

Z nikim.

Z kolegami w pracy?

Jeszcze kilka miesięcy temu o tym rozmawialiśmy, dzisiaj już nie.

A co pan myśli o tych, którzy odeszli ze służby, żeby nie musieć wykonywać poleceń, które nam do dzisiaj wykonuje?

Zazdroścuję im, ale muszę poczekać jeszcze trzy lata.

Co się panu śni?

Już mam dosyć tej rozmowy. Pan po prostu nie chce mnie zrozumieć, a ja jestem w takiej sytuacji, że niezależnie, co bym teraz zrobił, to i tak jestem przegrany. ●

Im mądrzej, tym głupiej i odwrotnie

Anderman



Mamy do czynienia z wydarzeniami kolosalnej wagi, które cały kraj śledzi z zapartym tchem i zachodzi obawa, że się z wrażenia udusi. Tajemnicza grupa z Wybrzeża wygrała krwawy bój z firmą transportową PKS Gdynia, której przedstawiła potworny wręcz zarzut: szerzenie antychrześcijańskiej propagandy.

Autobusy PKS w powiecie puckim miały numery od 650 do 669. W związku z tym autobus na trasie Dębki – Hel nosił numer 666. Czy można się więc dziwić spanikowanym członkom owej grupy, że oskarżyła PKS o propagowanie satanizmu? I PKS się ugiął, bo w konfrontacji z taką rozmodloną specgrupą i jej poplecznikami nie miał szans. Autobus na Hel ma teraz numer 669.

Niestety zwycięska akcja grupy wywołała olbrzymie komplikacje natury teologicznej. Grupa, kasując grasującego w autobusach szatana, zanegowała tym samym dogmat Kościoła katolickiego o istnieniu piekła. To groźny precedens, którego konsekwencje będą nieogarnione. Hasło: „Hulaj dusza, piekła nie ma!” może poczynić piekielne spustoszenie.

Jakby tego było mało, grupa – żądając zmiany numeru autobusu na 669 – chyba obrała się z rozumu. Przecież 69 jest symbolem seksu oralnego, a więc grzesznego, nieprowadzącego do prokreacji. To bolesne uderzenie w nauki Kościoła.

Czy trzeba przypominać, że dyrektor Rydzyski rozkolportował już 300 tys. egzemplarzy dzieła „Kształcenie charakteru” autorstwa słynnego redemptorysty Mariana Pirożyńskiego (1899-1964)? Poznaliśmy dzięki tej ofiarnej akcji fundamentalne prawdy: „Żadna rozkosz nie poniża godności ludzkiej w ta-

kim stopniu jak erotyczna. Toteż ludzie o wybitnych zdolnościach intelektualnych i o jakim takim poczuciu estetycznym czują obrzydzenie do zaśmiecania swego życia erotyzmem”. Tymczasem grupa bezwstydnie reklamuje seks oralny? „Tylko idioci i matolki lubią obracać się w atmosferze brudów erotycznych: mówić o nich i myśleć” – odpowiedź jej srogi Pirożyński.

Niedawno rozpętało bezprzykładną nagonkę na posłankę PiS Paluch, która od lat zajmuje mieszkanie komunalne w Krościenku nad Dunajcem. Miesięczny czynsz za to mieszkanie wynosi 116 zł i 43 gr. Jest to mało imponująca suma i w dodatku rymuje się z zawołaniem zapomnianej już premier Szydło: „Pokora, praca, umiar!”. Paluch wzięła to hasło do serca i płaci z umiarem. Cóż ona zyskuje w porównaniu z milionerami z PiS, których doliczono się już dziewięćdziesięciu? Przecież Paluch przejęła się żelazną zasadą prezesa: „Do polityki nie idzie się dla pieniędzy!”.

Związana z PiS skromna nauczycielka plastyki Kasprzycka także nie poszła do polityki dla pieniędzy i nie przeszliżnęła się do Sejmu z list ulubionej partii. Za to ostatnio została wiceprezesem PGNiG, czyli firmy, która specjalizuje się w budowie obiektów przemysłu naftowego i gazowniczego oraz produkcji urządzeń do eksploatacji ropy naftowej. Ktoś zapytał pochopnie, co ma nauczycielka plastyki do wiatraka, i bardzo się pomyli. Kasprzycka to osoba o kolosalnym doświadczeniu. Była już przewodniczącą wiejskiej rady parafialnej, zasiadała w radach nadzorczych Zakładu Utylizacji Odpadów w Myślenicach i tamże w Zakładzie Wodociągów i Kanalizacji, weszła do rady nadzorczej Energi Obrót. Mało? I uczciwie, bo poza tak zwaną polityką.

Ale i w polityce dzieje się wiele. Po ostatnich protestach ulicznych kobiet, zdruzgotanych nieludzkimi ustawami antyaborcyjnymi i związanymi z nimi zgonami ciężarnych, politycznie wypowiedziała się posłanka PiS Michalska: „Kobiety idą protestować? Ludzie w różnych sprawach protestują. Czasami w takich sprawach, że mnie by się

nie chciało w takich sprawach protestować”. A poza tym – z czym do gości? „Jakby tych kobiet umierały codziennie dziesiątki, setki tysięcy” – dorzuciła rezolutnie, tak jak trzeba w czasie klecenia list wyborczych.

Uwagę na siebie odpowiednich osób trzeba umieć w tym newralgicznym momencie zwrócić. Takim refleksem wykazał się senator PiS Bogucki, który udatnie scharakteryzował Donalda Tuska: jest „politykiem bezwzględny, takim z twarzą hitlerowską”.

To ciekawy koncept. Bogucki, urodzony kilkanaście lat po wojnie, bezbłędny znawcą hitlerowskich twarzy, bo pochłonął serial „Cztery pancerni i pies”? Ale i w tym,

tów świętych” – wyłożyło kierownictwo podstawówki.

Mniej pomyslowym Dobromirem okazał się w czasie komunii w Muszynie ksiądz, który klęczące przed nim dzieci skądś łańcuchami. Tłumaczył później, że koncept ten miał symbolizować „oddanie się Maryi” i dlatego dzieci zostały „symbolicznie zakute w kajdany”, ale nie można też wykluczyć, że ksiądz po godzinach jest namiętym czytelnikiem markiza de Sade’a.

Zdarza się, że osoby, które chciałyby brylować, przeżywają srogi zawód. W Krakowie Andrzej Duda i minister Sasin otwierali zawody sportowe. Obaj zostali bezlitośnie i donośnie wygwizdani przez kibiców. Sasin tak bystro to skomento-

Autobus na Hel ma teraz numer 669.

Przecież 69 jest symbolem seksu oralnego, a więc grzesznego, nieprowadzącego do prokreacji. To bolesne uderzenie w nauki Kościoła

i w innych filmach dla młodzieży hitlerowcy zupełnie Tuska z wyglądu nie przypominali. Zwykle były to ociężałe umysłowo grubasy, z którymi taki Kloss leciał w kulki, jak chciał. Zatem Bogucki popełnił błąd? Skądże. On użył słów, których komuś innemu użyć nie wypada, choć ma je na końcu języka, a więc zdobył sobie tego kogoś wdzięczność. Po prostu zuch.

Każdy by chciał zwrócić na siebie uwagę, nawet w skromnym zakresie. Komu chciał się przypodobać nauczyciel z Torunia, który zastosował „innowację pedagogiczną” i połączył lekcje religii z lekcjami chemii? Innowacja pedagogiczna o lotnej nazwie „Poczuj chemię do Jezusa” polegała na eksperymentach chemicznych z użyciem ognia, strumienia powietrza i farbek. „Dzieci za pomocą bezpiecznej chemii poznawały istotę sakramen-

wał: „Grupka politycznych hejterów próbowała zakłócić otwarcie Igrzysk Europejskich. Wielki organizacyjny sukces Polski wywołał frustrację tych, którzy źle życzą naszej Ojczyźnie”. „Grupka”, „hejterzy” (dawniej władza używała określenia „warchoły”), „próbowała zakłócić”. Jednym słowem gwizd niosący się nad miastem był obcy. Jakby to ujął za Ujejskim prezes: „Inni szatani byli tam czynni”. Obcy. I to sprawę rozwiązuje.

Janusz Anderman

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &
RAFAŁ SKARŻYCKI

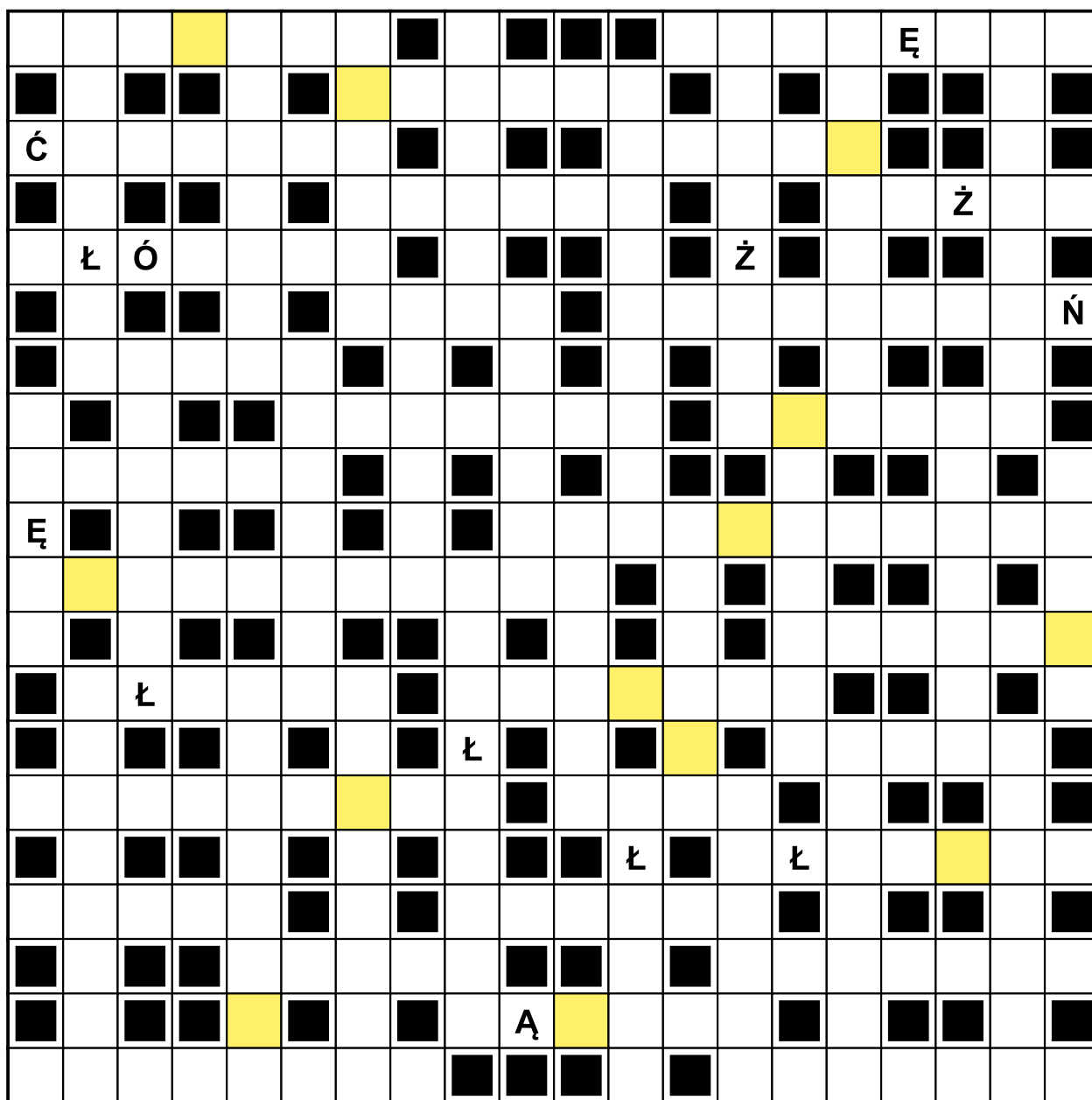


jolkka

51

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery charakterystyczne dla polszczyzny. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- apostata, odszczepieniec
- buty o wydłużonym i zakrzywionym czubie, noszone w średniowieczu
- „... Czaka”, serial telewizyjny z lat 80.
- ... Earhart, pilotka, pierwsza kobieta, która samotnie przeleciała nad Atlantykiem
- Filip, reżyser filmu „Panie Dulskie”
- film z Arnoldem Schwarzeneggerem, którego akcja toczy się w dżungli
- Franek Dolas (działowy)
- głodne – wciskane
- grecki bóg snu, brat bliźniak Tanatosa – boga śmierci
- gruba płytką ze szkła osadzona w ścianie
- Heinrich Schliemann i Kazimierz Michałowski
- imię ekszony Blake'a Carringtona (serial „Dynastia”)
- Jacek, napisał powieść „Lala”, zbiór opowiadań „Rynek w Smyrnie”
- japońska marka dostawczaków
- Józef (zm. 2000), ksiądz, filozof
- Kanonierzy z Londynu
- karetka z czasów Pata Garretta
- karnet wykupowany przez narciarza
- klub piłkarski z Dzierżoniowa
- końcowa stacja warszawskiej linii metra MI (Bielany)
- lekceważąco o staruszkach (anagram: morela)
- ktoś ślubował jej miłość
- małże Świętego Jakuba
- miasto, które płonie w „Przemienieniu z wiatrem”
- „Mieszczanin ...”, komedia Moliere (wpisujemy w mianowniku)
- naziemny wodociąg w starożytnym Rzymie



- nazwisko autora opowiadania „Stary człowiek i morze”
- New York ..., drużyna baseballowa, w której grał Joe DiMaggio
- nieproszony gość
- niespodziewanie zwyciężył, pokonując murowanych faworytów
- Nikołaj ...-Korsakow
- ogrody dendrologiczne
- ojciec „Ojca Goriota”, „Kuzynki Bietki”
- parlament USA
- ... Polska, operator telefonii komórkowej
- potocznie o jodle, cisie, tui
- prostata albo tarczycza
- przestarzałe: futerał z łukiem i kołczan ze strzałami
- ptak z rodziny rara avis
- „Pułapka na ...”, zbiór opowiadań Agathy Christie
- rabuś kokosowy
- Ralph, amerykański projektant mody

- Roger, as tenisa
- Ryszard, autor powieści kryminalnej „Upiory spacerują nad Wartą”
- rzeka Miłosza
- rzemienie, które podtrzymywały szablę u pasa (z liter wyrazu „parcie”)
- samoloty o symbolach A320, A330, A350...
- sport uprawiany przez Ronniego O'Sullivan, Marka Selby'ego, Johna Higginsa
- ssaki w tytule duńsko-islandzkiego filmu „Zakochani widzą ...”
- stałe rubryki w gazecie, czasopiśmie
- ta małpa to dobra partia dla wyjca
- tworzą się w wyniku działania kwasów na alkohole
- wszystko wykonuje sennie, powoli, leniwie
- wybuchła przed cichymi dniami
- zacofanie, brak oświaty
- zdemilitaryzowana lub bezcłowa

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Magnat prasowy.

Rzędami: bohemizm, dżentelmen, jogging, Bażant, teflon, Lucy, as kier, lekcja, Przyjaźń, strąki, chwile, Sherlock, respondentka, maskarada, Rademenes, Nagi instynkt, Salzburg, stożek, odwrót, alergeny, Włochy, Open'er, toga, kung-fu, prawdy, Szkocja, salamandra, beamwica.

Kolumnami: Potop, wypas, Ruhra, antał, Harley, księżycówka, Jolka, myjnia, krytyka, chaos, Zagnańsk, teolog, rady, paser, kijkarze, koryntki, żagle, port, Urbino, starocie, nędza, tubylec, erkaem, mazur, leżakowanie, Gandhi, Julek, ekran, nitka, Young.

Miej oko na jolkę

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

Redaktor prowadzący: Mariusz Burchart (red. naczelny). **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Piotr Gluchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Ariadna Machowska, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygłof, Aleksandra Szyfko, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wojcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarnecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Jacek Konarowski. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Anna Książkowska. **Adres redakcji:** ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37, e-mail: duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.